

TYGODNIK ILLUSTROWANY

KRÓLOWA JADWIGA



Z wystawy specjalnej
w Salonie T. Z. S. P.

JÓZEF MĘCINA KRZESZ

H. NUSBAUM:

Polacy a Żydzi.

Ankieta Tygodnika Ilustrowanego.

II.

Powszechnem jest narzekanie Żydów na antysemityzm społeczeństwa polskiego, i to zarówno szerokich sfer zacofanych, kapotowych, posługujących się żargonem niemieckim, jak i mniejszości postępowej, spolszczonej zupełnie.

Żydzi, zamieszkali w Cesarstwie, lub stamtąd do nas przybyli, mają wprost potworne pojęcie o wrogim rzekomo nastroju polskiego narodu w stosunku do Żydów. Dziwna to rzecz, że znaczna część inteligentów żydowskich wprost niechętnie słucha obrony ludności polskiej w sprawie antysemityzmu, zamyka oczy na niewątpliwe dowody życzliwości i sprawiedliwości z tamtej strony, a z dziwną, namiętą niemal skwapliwością wypatruje i piętnuje najdrobniejsze nawet rzekome lub istotne uchybienia. To głębokie przeświadczenie o specjalnej Polaków do Żydów nienawiści i niesprawiedliwości względem nich i idąca za tem nieufność i podejrzliwość wprost krańcowa sprzyja naturalnie zimnemu i obojętnemu zachowywaniu się większości Żydów względem drogiego narodowi polskiemu ideałów, a nawet prowadzi do lekkomyślnej tu i owdzie złośliwości i nieprzyjaznego nastroju. Ponieważ niewątpliwie w interesie stron obu jest pożyte zgodne, należy koniecznie krańcową tę nieufność i podejrzliwość poddać najbezzstronnejszej, dalekiej od żdźbła namiętności krytycznej rewizji.

„Lo tudin es cheweroch ad szetagia limkomo”, „Nie sądz bliźniego twojego, aż nie postawisz się na jego miejscu”—wyrzekł mędrzec rabi Hilel; a jakże dalecy są od stosowania się do tej wielkiej zasady życiowej ci, co tak bronią rzekomo sprawy współwierców swoich.

Głęboka różnica przekonań nawet w pojęciach najbardziej oderwanych nie łączy ludzi, ale oddala i dzieli.

Głęboka różnica przekonań, z którą łączą się nastroje uczuciowe, odmienne umiłowania, różne czi przedmioty, stokroć mocniej ludzi dzieli i oddala, budząc niemiłe rozdźwięki.

Głęboka różnica przekonań, z którą łączą się nastroje uczuciowe, związane z momentami osobistego naszego szczęścia, stokroć mocniej ludzi dzieli, oddala i staje się źródłem uczuć nieprzyjaznych.

Wiaral...

Niezależnie od garsteczki, znikomej w porównaniu z wielką rzeszą, od garsteczki, która skalpelem krytyki dotyka bezwzględnie wszystkiego, ale, przecząc jednej świętości, stawia na jej miejscu inną, wielką, potężną, która, jednym słowem, na podstawach wielkiego objawienia przyrody stawia na miejsce twórczej wiary twórcze przekonanie, wiara jest i będzie najwyższym ideałem, pociechą życia wielkiej rzeszy ludzkiego rodzaju, jak od czasów przeddziejowych była

biologicznym fermentem duchowej jego ewolucji. Wiara to sfera przekonań, z którą łączą się nastroje uczuciowe, związane z momentami osobistego naszego szczęścia, nie tedy dziwnego, że różnice wiary bardzo ludzi dzieli, oddalają i różni. Nic w tem dziwnego, że między wielką rzeszą chrześcijan a względną garstką Żydów nic sympatii, jakaby łączyć winna współmieszkańców jednego małego gniazdka wśród bytu bezkresu, żywiołowo bywa nadto targana.

Ale minęło średniowiecze, nastąpiło odrodzenie, obok jedynej niemal duchowej sprężyny życia — wiary, występować zaczęły sprężyny nowe: wiedza, piękno, etyka społeczna, świadome dążenie do doskonalenia stosunków życiowych na ziemi. I rozwój czynników tych, i przeświadczenie, że, bądź co bądź, ten Bóg, twórca i rządca świata, którego czczą na swój sposób i wedle swego pojęcia chrześcijanie i czczą na swój sposób i wedle swojego pojęcia Żydzi, jest tym samym duchem świętym wszechstworzenia, i przeświadczenie, że nad różnicą w pojęciach i formach kultu panuje niezależne od woli jednostek potężne prawo dziedziczności i bezwiedny los urodzenia, wszystko to sprawiło, że, wogóle rzeczy biorąc, sama li różnica wiary przestała być zarówno w Ameryce i Australii, jak od Atlantyku aż do ziem porzeczka Wisły, przyczyną wielkich krzywd i krzyczących względem Żydów bezprawii; ale nie mogły nie pozostać pewne jeszcze w tej harmonii rozdźwięki, które uciszyć zupełnie mogą tylko szczególne przymioty i cnoty, zjednywające „quand même” ludzkie serca, wiążące bratnie dłonie.

Na miejsce rozterek religijnych i obok polityki państwowej, wzmożyły się w ubiegłym stuleciu czynniki świadomości narodowej.

Zajmując stanowisko radykalnie nieprzyjazne wobec wszelkiego nacjonalizmu, obrażającego zasady etyki ogólnoludzkiej, nie możemy nie twierdzić najbardziej stanowczo, że idea narodowości jest biologicznie uzasadnioną, a gorący patriotyzm jednym z najbardziej podniosłych i istic błogosławionych uczuć. Jak bezwzględny obowiązek miłości bliźniego, więc każdego człowieka, nie może obniżyć wartości i pożyteczności gorących uczuć miłości małżeńskiej, rodzicielskiej, synowskiej, słowem, rodzinnej; jak, owszem, interes społeczeństwa zyskać tylko może na rozpowszechnionych i wysoce rozwiniętych uczuciach rodzinnych, z warunkiem, aby egoizm rodzinny nie podporządkowywał interesów publicznych interesom rodziny: tak bezwzględny obowiązek miłości całego rodzaju ludzkiego nie może obniżyć wartości i pożyteczności najgorętszego nawet patriotyzmu. Owszem, owoce gorącego, mądrego patriotyzmu stają się bez wątpienia własnością pożyteczną całego rodzaju ludzkiego, rzecz prosta, z tem zastrzeżeniem, aby egoizm narodowy nie podporządkowywał interesów ogólnoludzkich własnym.

Ale, jak niemożliwe jest, aby w powikłaniu interesów jednostek nie występowały zderzenia, które są wynikiem wielkiego prawa walki o byt, podobnie w powi-

kłych interesach narodów muszą ujawniać się przeciwności w dążeniach, które również wyrazem są tylko wielkiego prawa walki o byt. Chodzi tylko o to, aby w jednym i drugim razie walka była humanitarną, może lepiej wyraża to nasz wyraz: aby była *ludzką*, szlachetną! Gdziekolwiek spotykają się gromady, do różnych przynależne narodowości, więc zwłaszcza na terytoriach pogranicznych, muszą z natury rzeczy uwydatniać się zderzenia poszczególnych interesów i dążeń, stąd walki i wzajemne niechęci: tu ścierają się Niemcy i Francuzi, tam Niemcy i Polacy, Polacy i Czesi, Węgrzy i Serbowie, owdzie Duńczycy i Niemcy i t. d., i t. d. Ale bieda mniejsza, gdy narody na całej przestrzeni ojcowizny swojej żyją i rozwijają się swobodnie, a tylko na ukrainach swych narażane są na przykre następstwa zderzeń odmiennych interesów narodowych; gorzej, gdy w granicach politycznych jednego państwa różne narody walczyć muszą o autonomiczne swe prawa: ale daleko gorzej, gdy na jednej i tej samej geograficznej przestrzeni w zupełnym z sobą pomieszaniu różne żyją narody.

Choćbyśmy rozumieli, że Żydzi nie stanowią narodu ani w znaczeniu politycznym, ani we współczesnym pojmowaniu narodowości, to jednakże w skutek wielu okoliczności, wytworzonych przez dzieje, ludność żydowska, zamieszkała w Polsce, posiada wiele cech, które nadają jej zewnętrzne pozory odrębnej narodowości.

Pomijając wiarę i rasę, które bardzo często należą do cech, odróżniających narody, występują tu dwie wielkiej doniosłości cechy, a mianowicie: odmienność języka i obyczajów, na które wpływ olbrzymi wywierają przepisy, a jeszcze bardziej przesady religijne.

Język Żydów polskich nie jest ich językiem narodowym, lecz przybranym na obczyźnie i zachowanym przez inercję kulturalną. Odzież ich, tak różna i swoista, nie jest również strojem narodowym, ale narzuconym z zewnątrz i zachowanym przez inercję kulturalną. Inercja kulturalna stanowi też o wielu złe zrozumianych przepisach religijnych, czyniących obyczaje ludności żydowskiej dziwnie odskakującymi od powszechnie przyjętych. Wszystkie te cechy, bynajmniej nie narodowe, nadają jednakże ludności tej wszelkie cechy narodowości odrębnej i sprawiają, że naród polski widzi w swoim łonie żyjący naród odrębny. Azaliż mamy prawo żądać, aby Polacy byli jakimś nad-narodem, który, wbrew psychologii wszelkiego narodu na globie ziemskim, żywić powinien szczególną sympatię do narodu obcego dlatego tylko, że ten na terytorium jego współżyje, aczkolwiek strzeże sam fanatycznie odrębności swojej i sam zmuszony jest niejako, dzięki ciasno pojmowanym przepisom religijnym, stronić od wszelkiego z ziomkami współżycia, nie może weselić się jego winem ani ucztować przy jego stole, ani, broń Boże, serca dzieci swoich oddać sercom jego dzieci?

Dziś zaledwie, i to w sposób niestety chanie niedołączony wykluwa się w Hadze karykaturalna dotąd organizacja sądu rozjemczego narodów, międzynarodowa liga pokoju



PORANEK JESIENNY

JÓZEF RAPACKI

jeszcze nawet pierwszych kroków nie nauczyła się stawiać, płonne są usiłowania tych, którzyby do ogólnego pragnęli nakłonić państwa rozbrojenia. Interesów państwowych, które przeważnie są interesami narodowymi, broni się dotąd na granicach, a w danych razach poza granicami, zastępami wojsk, fortami, pancernikami i torpedowcami; ubolewają nad tem humaniści, ale większość patryotów usprawiedliwia krwawe te zapasy, zwłaszcza w celach obronnych. Jakież jest położenie dwu narodów, których granice stanowi sieć idealna, w której okach rozmieszczone są poszczególne nieliczne gromady, pojedyncze rodziny albo jednostki? Wobec sprzeczności interesów wojna? ale byłaby to rzeź wzajemna! rzeź okropna, nie rycerzy, ale tłumów roznamiętnionych, a mniejszość stałaby się niechybnie krwawych pogromów ofiarą; i tu znowu nie w bój idący mężowie, ale bezbronni niewiasty, ale dzieci niewinne!...

Na myśl samą zamiera serce. W posuniętych aż do obopólnego poczucia krzywdy stosunkach takich dwu narodów tylko wysoka kultura i duch wysoce humanitarny większości zdolen jest zahamować brutalne odruchy samozachowawczego instynktu, ale unicestwić nie może poczucia krzywdy i zahamować dążenia do samoobrony energicznej na drodze kulturalnej walki o byt.

Ale są różne narody i państwa, które w zgodnym żyją przymierzu, które łączą węzły szczerzej sympatyj. Dzieje się to wtedy,

gdy przyjaźń taka broni interesów najdroższych każdej ze stron.

Są narody, które, bez względu na pożytek, jaki innym przynoszą, są powszechnie lubiane, albo nawet wbrew szkodom, jakie przynoszą, posiadają wysokie w pewnych kierunkach uznanie. Czynne są tu dwa momenty: *intelektualny* i wcale nie tak mało ważny, jakby się to pozornie zdawać mogło, *estetyczny*. My, Polacy, pomimo tylu niesprawiedliwości i uciemieżeń, jakie od Niemców znosimy, żywimy najwyższe uznanie dla geniuszu ich narodowego pod względem ścisłości, wzorowego ładu i porządku. Francuzi są powszechnie lubiani, może najbardziej, dzięki zaletom towarzyskim i właściwemu im głębokiemu i wszechstronnemu poczuciu piękna. Któż nie zachwyca się piękną języka Włochów?

Nam, Żydom, przyznają zdolności intelektualne, przy dążnościach wszakże separatystycznych jest to zaleta w walce o byt narodów na jednej ziemi, nie mogąca się przyczyniać do wzmacniania więzów sympatyj. Natomiast w dziedzinie piękna czynią Żydzi wszystko, co mogą, powiedzmy to sobie wprost,

aby nie byli lubiani. Piękno to czynnik potężny; oczarowani pięknem, idziemy nawet nad stromy brzeg otchłani, a długo zapewne spoczywały perły nie tknięte w łonach muszli, właśnie dlatego, że za brzydkiem kryją się ciałem ślimaczem.

Znane mi są dobrze klejnoty serca, dźwięki poezji, drgające w duszach znękanych szerokich mas moich współwierców, ale nie mogę nie widzieć, że w rozterce są oni stałej z czystością, że zaniedbują w zupełności wszelkie wymagania piękna na zewnątrz, strój ich jest wysoce nieestetyczny, a mowa... mowa, ten najpiękniejszy dar natury, w ustach ich głośny, krzykliwy, brzydki śpiewany żargon niemiecki jest dla Aryjczyków, a zwłaszcza dla Słowian, którzy nawet „hochdeutsch'em” się nie zachwycają, wprost odstręczający. I jakże skarżyć się mogą, że są unikani!

Ale, pomimo różnicy wiary, pomimo odrębnych cech narodowych, pomimo ich grzechów estetycznych, zobaczymy, jak wygląda niechęć narodu polskiego do zamieszkałych wśród niego Żydów. Zobaczymy to w artykule następnym, dziś tylko zaznaczę jeden wielki fakt dziejowy.

Tenże naród polski, osiągnąwszy w 60-tych latach jedyny moment autonomii politycznej, pośpieszył obdarzyć Żydów wielkim aktem równouprawnienia; urzeczywistniła to mądrość stanu margrabiego Wielopolskiego, a cały naród, jak jeden mąż, aktowi temu przyklasnął.



WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

Tak przeszło do 1876 roku, w którym na Hrudę zważyło się nowe, chociaż już od dawna groźnie wiszące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie chrzczone.

Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba; wieś zawrzała, krzyk trwogi poniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali, jak oszaleli, nie wiedziawszy, co począć, załamywano bezradnie ręce, mróz przejmował kości, a strach dygotał każdym sercem, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów „dawnego”, jeszcze niektórzy mieli nie zagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami...

„Co robić? Co robić?”—trzępotęły się trwożliwe, zażawione szeptem.

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani powstało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zaturę?...

Włosy powstawały ze zgrozy, zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgębnione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterkich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulekłe patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namysłów porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im za to przyszło zapłacić życiem...

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele, aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą swoją kohortą chodził po wsi, wyczytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopci drapali się frasośliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzyły, jak rozjuszony wilczyce, ale po przejściu wójty i gdy chłopci pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierzały się śpiesznie, cicho i jedna po drugiej...

Wójt się naraz obejrzał i, ujrawszy samych mężczyzn, zawołał:

— A gdzie baby? Gdzie dzieci?...

Ponure ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

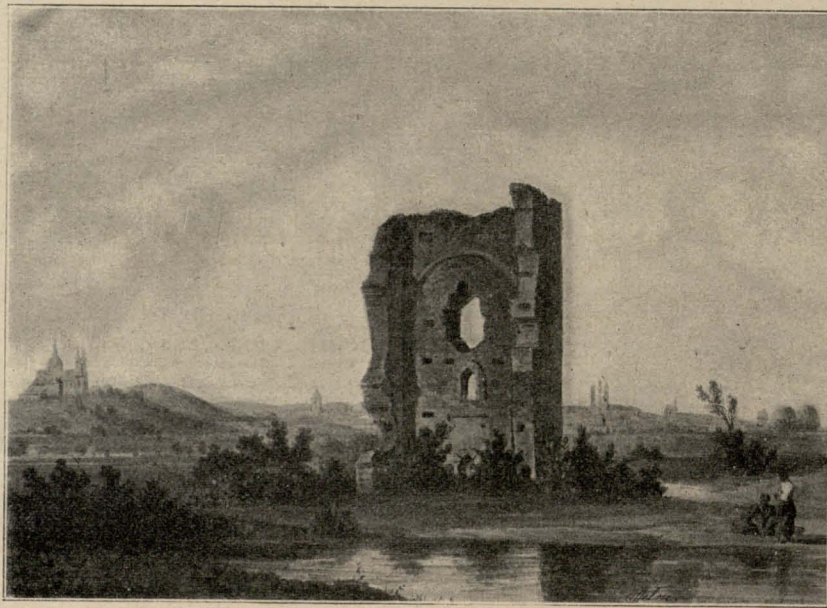
Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryczeć!

— Wychodzić! Wychodzić, bo za łby wszystkie was powyciągam!

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała, domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi miały pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali, nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

— Niech je pan wójt sam sobie otwiera! Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowytem, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie



Stara baszta na Bielawinie, w głębi widok Chełma. Rys. H. Gumiński.

dyszając z gniewu, rozkazał brać domy szturmem, jak fortecę.

Niełatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czem się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopci stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością...

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły, jak lwice, odpierając szturm za szturmem, co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekania psów i huki belek, któremi wybijano drzwi, niby tyranami, że rozlatywały się w drzazgi.

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niskich, ciemnych sieni, zawrzała ręczna walka, i wybuchały dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zjadlej i coraz rozpaczliwiej.

W końcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte, jak łachmany, okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszony ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisów, próbowano wyciągać nawet bosakami, ale nic nie pomogło.

Przetrzymały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopci przybierali coraz groźniejszą postawę. Wójt zagroził wsi strasznymi karami za opór i odjechał z całym towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i narazie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samym świątaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę. i rozniosły się złowrogie krzyki:

— Wojsko idzie! Ratuj dzieci, kto w Boga wierzy!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnow, szczęki broni i ciężkie, marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zważył się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porzywał za włosy i trwoga wyła w sercach, stali w jakimś nagłym skamienieniu i patrzyli ślepiemi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opadła, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbiierały dzieci, ogarnęły je naprędce i, jak która stała, boso i w koszulach, zaczęły się niepostrzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoły, potem w pola

i przepadły w szarudze i w skołnionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiła się ani jedna, były już w bezpiecznym schronieniu.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopci milczeli, niepodobna było wydobyc ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły, otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędę! — podkpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy — nie powróciły.

A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały tydzień, i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod jego wyniosłymi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

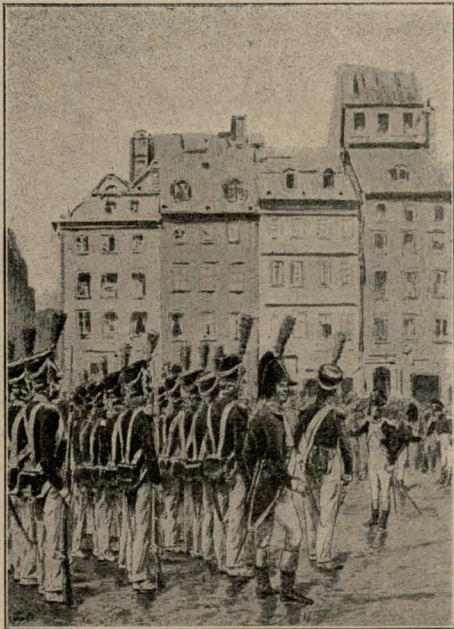
(D.C.N.)

IGNACY BALIŃSKI:

Zapomniany bohater 1809 roku.

Bohater, to może zbyt wiele, wszelako, jeśli można nazywać bohaterską epokę legionów, wojen napoleońskich i Księstwa Warszawskiego, to mąż, który w owej epoce całe swe życie poświęcił ojczyźnie, z kanoniera doszedł do stopnia generała, na stanowisku samodzielnym i wysoce odpowiedzialnym, przed stu laty właśnie, spełnił jak najświetniej powierzone sobie zadanie i umożliwił powodzenie kampanii, to mąż ów pośród błyszczącej plejady swych towarzyszy broni zgasnąć nie powinien i na wdzięczną pamięć potomności zasłużyć.

Mam tu na myśli generała Józefa Hornowskiego, obrońcę Pragi przed Austryakami w 1809 roku, człowieka dzielnego i skromnego, pokroju raczej Dąbrowskiego, niż Zajączka, który w swo-



Gwardya narodowa z r. 1809.
Z „Wojska polskiego“ Br. Gembarzewskiego.

im czasie bardzo był ceniony, lecz później uległ zapomnieniu. Z pamiętników *) nie przeszedł jeszcze do nowszych opracowań historycznych, ani do podręczników popularnych, i głucho o nim zupełnie w encyklopediach **). Stąd pokolenie współczesne na ogół bardzo mało wie o Hornowskim, nawet w Warszawie, która pamięci o tym swoim plac-komendancie i obrońcy z przed stu lat nie zaznaczyła dotąd w jubileuszowym roku jego wielkopomnego czynu, choćby w artykułach dziennikarskich lub wspomnieniach okolicznościowych.

W skutek skoligacenia się naszych rodzin w początku zeszłego wieku miałem, obok tradycji ustnych, sposobność rozpatrzenia kilkunastu dokumentów autentycznych, dotyczących generała Hornowskiego: metryk, papierów familijnych, rozkazów dziennych, listów do brata, adresów zbiorowych, oraz listy stanu służby, czyli „Wypisu z rodowodu Pułku piechoty liniowej Jego Cesarzewiczowskiej Mości Wielkiego Księcia Michała Nr. 1”, wydanego przez gen.-lejtenta Rautenstraucha w r. 1818. Na mocy owych dokumentów kreślę tę notatkę biograficzną, jako przyczynek do życiorysu generała i zarazem hołd, należny pamięci jednego z bohaterów kampanii 1809 r., w setną rocznicę ***).

*) Romana Sołtyka („Campagne de 1809”), Antoniego Ostrowskiego („Żywot Tomasza Ostrowskiego”), pamiętniki Leona Dembowskiego i Józefa Kraszińskiego, „Obrazy“ Juliusza Falkowskiego.

***) Rzecz dziwna, że o gen. Hornowskim niema żadnej wzmianki w pierwszej 28-o tomowej Encyklopedii Orgelbrandowskiej, której dział historyczny starannie był opracowany. Nie uzupełniła tego braku redakcja nowej „Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej“ (p. zeszyt 230 b), chociaż rozmaitym działaczom trzeciordernym współczesnym miejsca nie skąpi. Znajdujemy w tym samym zeszycie kilku generałów pruskich, austriackich i serbskich, a o generale polskim, obrońcy Pragi — milczenie.

****) Z trojga dzieci gen. Józefa Hornowskiego jeden tylko syn, Kazimierz, doszedł do lat dojrzałych,

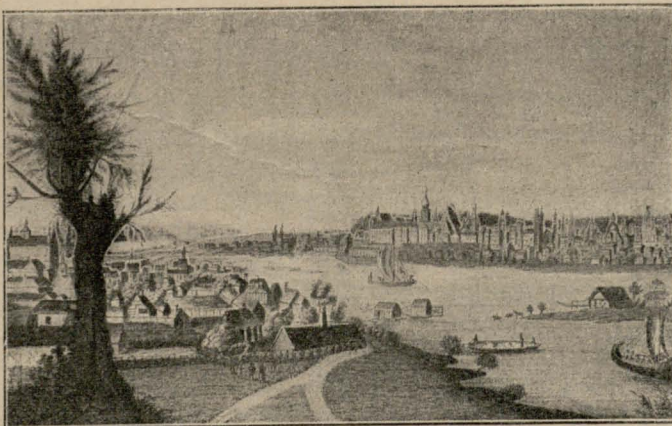


Obrońca Pragi Józef Hornowski.
Podług miniatury, zrobionej w Mantui w 1799 r.

Rodzina Hornowskich, herbu Korczak odmienny, zwany Hornowski I, pochodzi z województwa Brzesko-litewskiego, gdzie około r. 1586 posiadała wieś Hornowo. W roku 1686 pradziad generała, Zygmunt, przekazał ówczesną swą majątność Ostromeczów trzem synom: Antoniemu, Franciszkowi i Leonowi. Syn Antoniego, Ignacy Hornowski, wychowywał się w kolegium OO. Jezuitów w Brześciu, co stwierdza przechowujący się dotąd w rodzinie patent sodalisa z r. 1738 i wielki medal z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej i św. Ignacego Lojoli. Od r. 1750 służył w wojsku litewskim, pod buławą księcia Aleksandra Sapiehy, hetmana polnego W. Księstwa Litewskiego, a opuścił służbę w randze majora dopiero w r. 1783.

Potomstwo miał liczne, synów: Kazimierza, który osiadł na Litwie, Józefa, późniejszego generała, Wincentego i Stanisława, także wojskowych, lecz zmarłych młodo, i córkę, wydaną za Marczyńskiego. Zamiłowanie do wojskowości, do służby ojczyźnie i cnót obywatelskich wszczepiał

mieszkał w Warszawie i pracował w Komisji Skarbu, a żona jego w latach 1850—1855 była jedną z najczynniejszych pań Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo. Jedyną ich córką, Kazimierą, zamężną Lapiere, zmarła bezdzietnie. Starszy ukochany brat generała, Kazimierz Hornowski, w r. 1785 osiadł na Litwie, nabywszy majątek Rzeszę w pobliżu Kalwaryi pod Wilnem. Piastował kolejno z wyborów urzędy ziemskie sędziego granicznego, podkomorzego wileńskiego i sędziego apelacyjnego. Jedyny syn jego, a synowiec generała, Gaspar Hornowski, od wczesnej młodości służył wojskowo przy boku stryja i odbył z nim kampanię 1812 r., podczas której, po bitwie pod Berezyną, otrzymał polski srebrny krzyż „wojskowy”. Po śmierci stryja, w r. 1817, wystąpił z wojska w randze porucznika i osiadł w ojcowskiej Rzeszy. Był także z wyborów prezesem sądu ziemskiego, a następnie marszałkiem szlachty powiatu wileńskiego, w latach 1834—1841. Żonaty był najprzód z córką profesora uniwersytetu wileńskiego, Matuzewicza, a potem z Maryą z Houwältów, siostrą babki mojej, żony Ignacego Balińskiego z Punżan, marszałka powiatu wileńskiego. Na Gasparze wygasła po mieczu ta linia Hornowskich, gdyż syn, Józef, umarł w 19 roku życia, i zostały tylko dwie córki: Rozalia Hornowska, zm. 1893 r. w Wersalu, jako przełożona dawnych Wizytek wileńskich, i p. Aleksandrowa Kostrowicka, dziedziczka Rzeszy, skonfiskowanej w 1863 r. z jednoczesnym zesłaniem właścicielki do gub. wroneskiej. Wszystkie dokumenty, które przytaczam, miniatura Józefa Hornowskiego, wykonana w Mantui w 1799 r., oraz 72 listy generała do brata Kazimierza, pisane w latach 1800—1817 r., są własnością jej córki, prawnuczki Kazimierza, p. Salomei Kostrowickiej, zamieszkałej w Wilnie. Jest ona obecnie najbliższą z krewnych po generale Hornowskim, gdyż inni członkowie tej rodziny są potomkami braci jego ojca, Ignacego, lub braci dziada Antoniego.



Praga i Warszawa w początkach XIX wieku.

dzieciom gorliwie i słusznej się z nich doczekał chłuby.

Józef Hornowski, obrońca Pragi, urodził się d. 24 czerwca 1773 r., we wsi Łomazach obwodu bialskiego, w województwie podlaskim i już w 18-ym roku życia, d. 20 października 1791 r., wstąpił „z ochoty”, jako kanonier, do artylerii pieszej litewskiej. Dnia 20 maja 1793 r. postąpił na podporucznika, 11 maja 1794 r. na porucznika i 26 października 1794 r. na kapitana tejże artylerii.

W ciągu tych trzech lat odbył kampanię roku 1792 i 1794 przeciw Rosji, znajdował się w bitwie pod Grannem (1792 r.), w bitwach pod Wilnem, Polanami, Sołami i w obronie Pragi przed Suwarowem, gdzie otrzymał ranę w lewą nogę.

W pół roku potem, d. 13 lutego 1795 r., przeszedł w stopniu kapitana do legionów włoskich, w których przesłużył lat dwaście, odmówiwszy stanowczo wyjazdu na San-Domingo, lecz walcząc ciągle we Włoszech.



Ułani z roku 1809.
Z „Wojska polskiego“ Br. Gembarzewskiego.

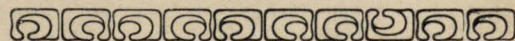
Lista stanu służby notuje kampanie 1799 i 1800 r. przeciw Austrii, kampanie 1803, 1804 i 1805 r. przeciw Neapolitańczykom i Austrii, 1806 r. w Neapolu i Kalabrii, zaznacza udział w oblężeniu Mantui, w bitwach pod Castelfranco i Campo Tenero, oraz w licznych mniejszych utarczkach. Otrzymał wówczas krzyż legii honorowej.

Nadeszła wreszcie upragniona dla legionistów chwila: wrócili z ziemi włoskiej. Wraz z takimi kolegami, jak Sokolnicki, Godebski, Żymirski, Hebdowski i inni, kapitan Józef Hornowski d. 12 marca 1807 r. przechodzi w randze szefa batalionu do pułku 3-go piechoty Księstwa Warszawskiego i zaraz rzuca się w wir walki, bywając przez kilka miesięcy w codziennych utarczkach.

Po tej kampanii otrzymuje polski krzyż kawalerski wojskowy na paradzie w Pułtusk, co go najżywszą, jak pisze do brata, przejmuje radością, i postępuje na majora do pułku 2-go piechoty. W tej randze, na stanowisku komendanta twierdzy Pragi, zastaje go w kwietniu 1809 r. niespodziewany atak arcyksięcia Ferdynanda na Księstwo Warszawskie i jego stolicę.

Obronę czynną pierwszy rozpoczyna Hornowski. Jeszcze przed bitwą Raszyńską, w nocy z 17-go na 18-ty kwietnia, wyszedłszy na rekonesans ku Grzybowowi, na ówczesnej granicy galicyjskiej, z 30-tu jeźdźcami i 80 ludźmi piechoty napadł na 200 huzarów austriackich, czterdziestu wykłuł, a resztę rozproszył.

(DN)





JESIENNA NOC KSIĘŻYCOWA (z wystawy międzynarodowej w Monachium)

ROMAN KOCHANOWSKI

Konkurs Jubileuszowy.

Dla upamiętnienia półwiekowej działalności swojej *Tygodnik Ilustrowany*, nierozdzielnie z piśmiennictwem polskim, zamierzył ogłosić nowy konkurs literacki, w nadziei, że turniej ów wzbogaci niejednym dziełem pięknym, o trwałej wartości, skarbiec beletrystyki ojczyzej.

Ogłaszamy tedy niniejszem konkurs na nowelę, bez ograniczenia treści i objętości, nie większą jednak nad tysiąc wierszy druku naszego pisma.

Na nagrody przeznaczamy

rubli 1000.

a mianowicie:

Nagroda 1-sza 400 rubli,

Nagroda 2-ga 300 rubli,

Nagroda 3-cia 200 rubli,

Nagroda 4-ta 100 rubli,

oprócz honorarium.

Skład sędziów stanowią uproszeni przez redakcję *Tygodnika Ilustrowanego*: PP. Ignacy Baliński, Władysław Bukowiński, Ignacy Chrzanowski, Zdzisław Dębicki, Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), Artur Górski, Czesław Jankowski, Józef Kotarbiński, Jan Lorentowicz, Władysław Rabski.

Oraz Redakcja *Tygodnika Ilustrowanego* w osobach:

Józefa Wolffa, Artura Oppmana (Or-Ota) i Henryka Gallego.

Termin ostateczny nadsyłania rękopisów: 1-go lutego 1910 roku, do godziny 3 po południu pod adresem *Tygodnika Ilustrowanego* przy ul. Zgoda Nr 12 w Warszawie, lub księgarni Gebethnera i Sp. w Krakowie, Rynek Nr 23.

Nazwisko autora winno być umieszczone w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem i pseudonimem; to samo godło i pseudonim powinny być powtórzone na rękopisie.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy.

ZDZISŁAW DĘBICKI:

Na grobie Shelley'a.

Janowi Kasproviczowi.

Gdyśmy we dwóch stanęli na tym smutnym
grobie,
Gdzie *Serce Serc* spoczęło pod kamiennym
głazem,
Dusze się nasze smętne pochyliły razem
I przyklęły w bezgłośnie nad grobem
żałobie—

A z pod kamienia ku nam szło echo dalekiej
Gędźby, wygranej niegdyś na harfie ze złota,
I biegło, prometejskie w swej sile, za wrota,
Kędy Rzym huczał szumem wzbierającej rzeki...

Milczenie, swoje nieme złożywszy pieczęcie
Na ustach naszych, trwało, jak cisza
w świątyni,
W której się Bogu służba tajemnicza czyni,
Nim dzwon obwieści tłumom o idącym
święcie...

Lecz nagle gdzieś wśród laurów zaćwierkał
ptak Boży,
Przemówiły cyprysy i pinie szelestem,
Jakgdyby duch poety odezwał się: „Jestem
I z tego wzgórza śmierci poglądam ku zorzy”...

I wówczas nasze oczy spotkały się wzajem,
I na płytę marmuru upadł z Twojej ręki
Fijołków rozkwitniętych pęk wonny i miękki,
Poczem cmentarnym na dół odeszliśmy gajem...

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

VI.

Religia. Niektórzy wyobrażają sobie, że źródłami religii są niedokładne obserwacje natury, marzenia senne, choroby nerwowe, oszustwa, bojaźń, a nareszcie stare księgi, jak: Biblia, Talmud, Koran i t. p. Gdy więc okaże się, że—naprzykład—owe księgi nie godzą się z odkryciami nauk obserwacyjnych i doświadczalnych, gdy dowiedzie się, że księgi te nie były utworami osób, którym je przypisywano, albo że wiadomości, w nich zawarte, pochodzą z jakiejś starszej literatury, gdy to wszystko okaże się czarno na białym, wówczas religię można będzie traktować, jako nerwową chorobę ludzkości, i—pozbyć się jej, jako rzeczy nieużytecznej, a nawet szkodliwej.

Wszystko to są „naukowe” złudzenia.

William James, jeden ze znakomitych i trzeźwych psychologów współczesnych, a zatem człowiek nauki, w następujący sposób określa „najbardziej charakterystyczne wierzenia życia religijnego”.

1-mo. Świat widzialny jest tylko częścią świata niewidzialnego i duchowego i z niego czerpie całą swoją wartość. 2-do. Celem człowieka jest jak najściślejsze połączenie się z owym światem niewidzialnym. 3-io. Modlitwa, czyli związek z duchem wszechświata, pościągą za sobą korzystne skutki, mianowicie wywołuje dopływ energii duchowej, która może w bardzo wyraźny sposób oddziaływać tak na zjawiska duchowe, jak i materialne.

Oprócz tego „doświadczenie religijne” przedstawia jeszcze dwie cechy: 1-mo: Pod jego wpływem życie nabiera jakby nowego smaku, doznaje łaski, która wywołuje zapał liryczny, albo nastrój bohaterski. 2-do. Budzi się uczucie bezpieczeństwa, spokój wewnętrzny, objawiający się wylewami miłosierdzia.

„Z punktu widzenia psychologicznego—pisze James—religia może odeprzeć ataki swoich przeciwników. Czy jest prawdziwa, czy fałszywa, czy zawiera lub nie zawiera pierwiastków umysłowych, w żadnym razie nie jest ona ani anachronizmem, ani przeżytkiem, ale odwieczną funkcją ducha ludzkiego”. Dzięki owym „doświadczeniom religijnym”, którym autor poświęcił lata badań i ogromny tom druku, dzięki owym doświadczeniom, niejedynemu zrozpaczonemu odzyskał pogodę serca, bojaźliwy stał się odważnym, pijak i karciaz wyzbył się swoich nałogów, gniewliwy łagodniał, mściwy zapomniał o nienawiści. Więcej nawet, bo amerykański filantrop, George Müller, człowiek ubogi, ale który w ciągu sześćdziesięcioośmioletniej działalności dobroczynnej wydał 35 milionów franków na ratowanie bliźnich, zawsze rachował na skuteczność modlitwy i pomoc Boską... „Bóg codzień dostarcza nam potrzebnych pieniędzy”—mawiał.—Cud taki możliwy jest tylko w religijnym społeczeństwie“.

Cóż jednak znaczy owo „doświadczenie religijne”, o którym tyle mówi James? Jest to—przepraszam sceptyków—jest to objawienie się człowiekowi niewidzialnego, duchowego świata...

„W piątek wieczorem—opowiada niejaki J. R. Lowell—miałem objawienie. Gdym mówił, rozwinął się przede mną świat duchowy, jakgdyby wzniósł się z przepaści z całym ma-

jestatem przeznaczenia. Nigdy tak wyraźnie nie czułem Ducha Bożego w sobie i dokoła siebie. Cały pokój zdawał się być pełen Boga. Powietrze drżało obecnością jakiejś rzeczy Nieznanej”...

Inny mówi: „...Nagle uczułem, jakgdybym wzniósł się ponad samego siebie, poznałem Boga, którego dobroć i potęga napełniły mnie. Nie mogąc utrzymać się na nogach, usiadłem na kamieniu i zapłakałem... W mojej ekstazie Bóg nie miał formy, ani koloru, nie oddziaływał na żaden zmysł; czułem tylko, że cała moja osoba przekształciła się pod wpływem obecności Ducha. Bóg, choć niewidzialny i pod żaden zmysł nie podpadający, był jednak obecny: poznała Go moja świadomość”.

Inny eksperymentator: „Doświadczyłem chwilowo jakby zaniku mojej indywidualności, a jednocześnie poznałem daleko głębsze znaczenie życia, aniżeli to, do którego przywykłem. Znalazłem się w związku z Bogiem. Bez Boga świat byłby chaosem; nie mogę pojąć życia bez Jego obecności”.

I jeszcze parę zeznań: „Bóg otacza mnie, niby atmosfera. Jest On bliższy mnie, aniżeli mój własny oddech. W Nim żyję, poruszam się, jestem”.

„Czuję, że unosi się nade mną jakaś potężna i łagodna obecność. Niekiedy ogarnia mnie, jakby otaczała ramionami, ażeby mnie podtrzymać”.

Przytoczywszy mnóstwo dowodów, że są ludzie zdrowi i trzeźwi, uczciwi i energiczni, którym jednakże świat duchowy, niewidzialny przedstawia się z taką wyrazistością, a nawet wyraziściej, aniżeli świat materialny, James wypowiada w pewnym miejscu niby wniosek ze swych spostrzeżeń: „Ależ ten świat niewidzialny jest nie tylko idealny: on wywołuje skutki w świecie zmysłowym. Przez sam stosunek z niewidzialnością przekształca się nasze „ja” skończone, stajemy się ludźmi nowymi, a nasze odrodzenie zmienia całe nasze postępowanie i tym sposobem odbija się w świecie materialnym. Jakże więc można odmówić nazwy realności temu, co wywołuje następstwa realne? Jakiem prawem filozofowie mogliby twierdzić, że świat niewidzialny jest nierealny?” (William James, *L'expérience Religieuse*).

Zobaczmy, co mówi inny uczony, E. Boutroux, członek Instytutu, którego dzieło *Science et Religion* wydała Biblioteka filozofii naukowej: „Religia obdarza człowieka życiem bogatszym i głębszym, aniżeli codzienne, a choćby nawet umysłowe. Religia jest rodzajem syntezy, albo raczej ściśłego, duchowego spójenia się instynktu i myśli, w którym związku każda z tych sił, stopiona z drugą, a więc przekształcona i spotęgowana, posiada taką pełnię i moc, jakiej nie miałyby, działając oddzielnie”.

Z cytów powyższych okazuje się, że nie tylko teologowie, ale i niektórzy uczeni, uznają realny byt świata niewidzialnego i wierzą w potężny, a dobroczynny wpływ jego na nasze życie i sprawy ziemskie. Tę zaś wiarę opierają nie na dawnych legendach, lecz na obserwowaniu ludzi współczesnych.

Zresztą i historia jest wymownym świadkiem znaczenia religii dla ludzkości. Przypomnijmy sobie dzieje Żydów, zwycięstwa Mahometan, wojny krzyżowe; czeskich Husytów i angielskich Purytanów. Przypomnijmy piramidy i świątynie egipskie, posągi i świątynie greckie, malarstwo, architekturę, muzykę świata chrześcijańskiego, wreszcie literackie dzieła religijne, od legend staroegipskich i mitologii greckiej do Komedyi Boskiej, Naśladowania

Chrystusa i niezmiernego mnóstwa utworów teologicznych.

Lecz i to nie wyczerpuje wpływu religii na społeczeństwa. Jeszcze bowiem mamy tysiące męczenników, którzy śpiewali wśród cierpień i z radością szli na śmierć, mamy świętych, którzy wyrzekali się godności, majątku, wolności, aby pielęgnować i pocieszać ludzkość cierpiącą.

Jest więc religia olbrzymiem, niewyczerpanym źródłem sił moralnych, niezbędnie potrzebnymi każdemu człowiekowi, każdemu społeczeństwu, a szczególnie takiemu, jak nasze, dla którego wiara w słuszność swojej sprawy, panowanie nad sobą, poświęcenie i wszelkiego rodzaju cnoty są warunkami bytu. Sił materialnych nie posiadamy, jeżeli więc nie zdobędziemy się na duchowe (bez porównania mocniejszy), możemy nie tylko zginąć bez sławy, ale poprostu—zmarnąć.

Tymczasem coż widzimy u nas?... Ogół bezmyślnie klepie pacierze, w których bodajże niema uczucia, albo bierze udział w obrzędach, z których już duch uleciał... O mistykach polskich nie słyhać; publiczność oświecona zajmuje się polityką, teatrem, wypadkami bieżącymi, ale nawet zdaje się nie wiedzieć o istnieniu jakiejś tam „kwestyi religijnej”...

Ci, do których z obowiązku należy pielęgnowanie życia religijnego, zatopili się w suchych rozprawach i przepisach; nasi zaś wolni myśliciele podkopują samo poczucie religijności, wyrządzając narodowi nieobliczalną krzywdę. Nareszcie ruch maryawicki zdaje się być objawem zatargów wewnątrz Kościoła, może wpływów politycznych, nie zaś potrzeby religii żywej, czynnej, odradzającej.

W Niemczech, Francji, Anglii, Ameryce kipią prądy religijne: ludzie badają, spierają się, zapalają... Do nas nawet echo tych głosów nie dochodzi!

Jest bardzo upowszechnione mniemanie, że nauka obala wierzenia religijne. Nic błędniejszego! Badania naukowe opierają się na trzech zmysłach: wzroku, dotyku, słuchu, zaś „doświadczenia religijne” wypływają z tajemniczych stanów duszy i opierają się na jakimś zmyśle wewnętrznym. Są to więc zupełnie odrębne dziedziny świadomości ludzkiej, i łatwiej możnaby zaspokoić czyjś głód dźwiękami lub kolorami, aniżeli za pomocą fizyki, chemii, czy biologii przekonać, że nie istnieje świat duchowy, takiego człowieka, który tę „niewidzialność” odczuwał, który jej doświadczył... „Wielokrotnie—mówi pewien znajomy Jamesa—doznawałem tego, co się nazywa *obecnością*... Pewnej nocy odczułem, że coś wchodzi do mego pokoju i zatrzymuje się przy moim łóżku. Nie spostrzegłem tego żadnym zmysłem, lecz miałem w sobie pewien rodzaj uczucia niesłychanie przykrego. Żadne zwykłe wrażenie nie wzruszyłoby tak głęboko całej mojej istoty. Ta rzecz—była, i miałem daleko większą pewność jej bytu, aniżeli jakiegokolwiek istoty, złożonej z ciała i kości”.

Religia jest potęgą wielką i dobroczynną. Ona wskazuje ludziom kierunki nadziejskie, przy których jednak można spotkać ziemską pomyślność, zgodę i spokój. Ona wskazuje nadludzkie cele, za którymi dążąc, człowiek wzmacnia swoje siły i rozwija zdolności. Ona, głosząc o życiu zagrobowem, uczy pogardzania śmiercią i męstwa w cierpieniach, czyli oswabadza człowieka od najgorszej niewoli. Kto nie drży wobec bólu i śmierci, nie jest sługą, ale panem świata.

Religię zatem trzeba pielęgnować, jak

największy skarb, najsilniejszy motor cywilizacji; ale religię prawdziwą, nie martwych tekstów, tylko żywych uczuć i czynów użytecznych, a zarazem podniosłych.

Religia prawdziwa daje moc woli, pogodę sercu, skrzydła rozumowi. Zamiast inkwizycji stawia tolerancję, zamiast pogroźek—miłosierdzie, zamiast przekleństw—błogosławieństwa. Ona nie prześladowa innowierców, gdyż rozumie, że różne wyznania są tylko rozmaitymi gośćmi, które prowadzą do jednego Boga. Ona nie polemizuje z nauką, gdyż nie wątpi, że nauka istotna, wcześniej czy później, potwierdzi najważniejsze prawdy wiary. Przecież ideałem religii jest Bóg, wszechwiedzący i wszechpotężny; zaś ideałem nauki jest zrobić człowieka dużo wiedzącym i dużo mogącym, czyli — ukształtować go na podobieństwo Boże.

Duch narodu, ażeby rozwinął się w pełni, musi dążyć do wydania z siebie — twórczego rozumu, twórczej woli, twórczego uczucia, czyli: geniuszu, bohaterstwa i świętości. Otóż geniusz rodzi się z mądrości, bohaterstwo — z trudów, a świętość — z religii.

Kiedy w naszym narodzie zbudzi się ruch prawdziwie religijny?... nie podobna przewidzieć. Lecz wielkim byłoby nieszczęściem, gdyby się wcale nie obudził.

NARÓD W NARODZIE.

Szkice i wrażenia z życia Żydów.

PAMIĘTAJ, ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ...

Zapada wieczór piątkowy. Ze stukiem i hałasem zamykają się sklepy w dzielnicy żydowskiej. Gasną światła. Ulica ożywia się na chwilę gromadkami ludzi, śpieszących w różne strony.

Dokąd śpieszą? Wznosić modły do Pana o lepszą na przyszłość dolę.

Przed wejściem do synagogi na Tłomackiem stoi pan w czarnej aksamitnej rogatywce. To urzędnik, pilnujący porządku. Inni, tak samo ubrani, baczą na zachowanie się pobożnych w świątyni.

Wymaga biletów. Ale wprawny rzut oka na mnie wystarcza dla przekonania, że wchodzi ciekawy, może, by posłuchać słynnych chórow żydowskich. I skinieniem ręki ukazuje mi drogę.

Nie każdy z taką łatwością zyskuje do-



Synagoga na Tłomackiem.



ŻYDZI MODLĄCY SIĘ

HENRYK HOCHMAN

stęp. Obok stoi policyant i niektórych zbyt gorliwych pobożnych bez biletów odciąga prosto za ramię.

Piękny gmach synagogi na Tłomackiem znany jest powszechnie. W środku trudno się oprzeć wrażeniu chłodu i pustki. Dwa szeregi wielkich kolumn, o kapitelach korynckich, podtrzymują dwie galerye dla kobiet; jak wiadomo bowiem, w świątyniach Starego Zakonu kobiety są od mężczyzn odosobnione.

Osób wogóle niedużo. Na galeryach spostrzegam kilkanaście wielkich kapeluszy; w czterech rzędach ławek, wypełniających dół świątyni, zaledwie trzecia część miejsc zajętych. Przeważa publiczność surdutowa; zaledwie tu i owdzie widać chałat. Mężczyzn o wiele więcej, niż kobiet... zatem wprost przeciwnie, niż w naszych kościołach.

W głębi, w półokrągłej absydzie, przed kolistem, otoczonym kolumnadą i przedzielonym zastoną „Świętem Świętych”, wśród jarzących się płomieniami świeczników, donośnym i czystym głosem intonuje kantor wersety Ksiąg Świętych. Odpowiada mu z galeryi absydy świetnie wyćwiczony chór, w którym role głosów kobiecych pełnią dziecięce, kobietom bowiem Zakon nie pozwala w chórach uczestniczyć.

Po wszystkich kątach niezmiernie akustycznej synagogi rozlewają się potężne, przejmujące dźwięki. Przeważają w niej nastroje tęskne, zrzadka zabrzmie jakaś niby zbłąkana nuta tryumfalna. Nic w tem dziwnego. Słów nie rozumiem, ale wiem, że słowa i dźwięki i myśli zawracają ku dalekiemu Syonowi...

I byłoby coś do głębi wzruszającego w tej gromadzie ludzi, jedną myślą zespólnych, z oczami zwróconymi na daleki wschód, ku ruinom wspaniałej świątyni Salomona, z której kamień na kamieniu nie pozostał, ku Ojczyźnie, przed dwudziestu wiekami utraconej i nigdy nie odzyskanej...

Byłoby... gdyby nie chłodny nastrój po-

bożnych, gdyby to nabożeństwo poprawne, artystyczne nawet, nie było zimne, gdyby nie brakło widomej łączności między modlącymi się w nawie a podniosłymi głosami, idącymi ku niebu z absydy.

Idźmy gdzieindziej, dalej.

Na ulicy Twardej, pod Nr 6, w olbrzymio głębokim, drugim podwórzu mieści się druga w Warszawie wielka synagoga. Jeżeli tę z Tłomackiego nazwiemy postępową, jeżeli tam w objaśnieniach panował wyłącznie język polski, tu obowiązuje wszechwładnie żargon; ta będzie—ortodoksalna; jeżeli tam przeważały surduty, tu widzimy więcej chałatów, jakkolwiek bardzo czystych i porządných; jeżeli tam czułem się zupełnie swobodnym w roli ciekawego widza, tu jestem nieco skrępowany. Bo ci ludzie modlą się naprawdę.

Gmach mniejszy, bardziej biały w kolorze, jest zupełnie podobnie urządony. Tylko chór nie mieści się na galeryi, lecz otacza kantora, w półkolu przed „Świętem Świętych”. Kobiet jeszcze mniej (przy wyjściu po ukończeniu nabożeństwa nie widziałem ich wcale, może zniknęły jakim innym wyjściem).

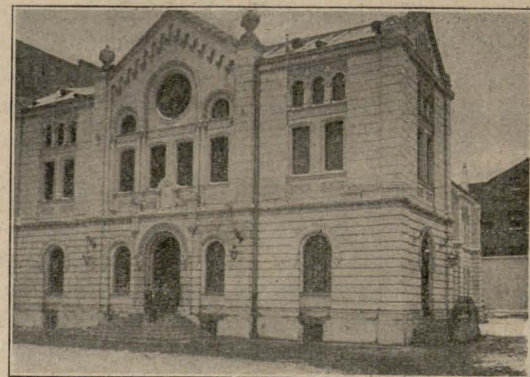
Ten tłum mężczyzn, wypełniający dół, bierze żywy udział w nabożeństwie. Może śpiewy są mniej artystyczne; ale drga w nich nuta namiętna, żeby nie powiedzieć jeszcze, fanatyczna. A sąsiedzi moi kiwają się bez przerwy, mrużąc do wtóru słowa modlitwy. I z tej świątyni płynie ku górze istotnie zbiorowa jakaś tęskna, monotonna, rozmodlona melopea.

Czuję się nieswojo. Nie biorę udziału w modlitwie, chcę więc wyjść, ale czekam na przykład sąsiadów. Nareszcie dwóch rusza, ja za nimi. Jednakże nie puszczają nas; drzwi zamknięte aż do końca nabożeństwa. Na szczęście, wypadło już czekać niedługo.

Wychodząc, myślę, że widziałem w obu synagogach kilka setek modlących się Żydów, z warstw niewątpliwie raczej zamożniejszych. Gdzież reszta?

Rozrzucana po setkach bóżnic i domów modlitwy, do których dostęp jest znacznie trudniejszy. Bo, im mniejsza bóżnica, tem bardziej znana klientela, tem łatwiej poznają obcego. A tu, na Twardej, nikt mnie nawet o bilet nie pytał.

Po nabożeństwie jeszcze raz kroki swoje kieruję na Nalewki. W dzielnicy żydowskiej pustkowie zupełne. Czasem tylko śpieszy jakiś zapóźnony przechodzień—z nabożeństwa do domu.



Synagoga ortodoksalna na ulicy Twardej Nr 6

Nie tylko pusto, ale i ciemno. Bo fronty domów zajęte są także na sklepy i składy, na wszystkich piętrach. Tylko tu i owdzie, w wąskich podwórkach, a ulicach bocznych, na Dzikiej, Franciszkańskiej, Grzybowskiej, Pańskiej, liczne świece w oknach świadczą o wieczorze szabasowym.

W dzielnicy, zwykle pełnej ruchu, prędko czasem dorożka, a w zawsze przepelnionym tramwaju warszawskim wracam sam jeden, literalnie sam. Po co te dorożki i tramwaje, skoro olbrzymia połać Warszawy obchodzi tak ściśle obserwowane swoje święto?

Dopiero na Marszałkowskiej powraca wrażenie dnia powszedniego. A z jak licznymi zastrzeżeniami ciemnych, zamkniętych sklepów!

...Ranne nabożeństwo w synagodze na Tłomackim jest i liczniej uczęszczane, i uroczystsze. Może dlatego, że znaczna większość obecnych ubrana jest w rytualne, czarne z białym rękawiki (*talesy*), lub wielkie płaszcze tego samego koloru, śmiertelne koszule.

Tylko melodie jeszcze bardziej jednostajne i nabożeństwo długie, długie... Tak długie, że nie zdołałem doczekać się kazania, po półtorej godzinie.

I tak długie, że po ukończeniu swoich modlitw, zamknięciu ksiąg nabożnych i *talesów*, za ławkami, obok mnie, tworzy się mała giełda, ze szmerem cichych, ale dość niesfornych szepotów.

I po raz pierwszy słyszę uwagę pilnującego porządku w aksamitnej rogatywce:

— *Gaspada, pożałujsta...*

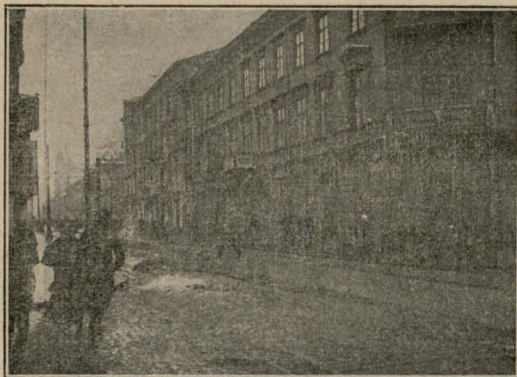
...Oddali Bogu, co jest Boskiego. Reszta dnia święta do nich należy. Tłumy, świątecznie odziane, zalegają Nalewki, zalewają ogród Krasińskich i ogród Saski.

Wystawa wszelkich gorszych i lepszych biżuterii. Szarmanccy kawalerowie i pocziwie uśmiechnięte tłuste mamy. Głośne rozmowy chrapliwe i wybuchy śmiechu z „delikatnych” konceptów. Przepychanie się dość bezwzględne. Bliżej Nalewek przeważa olbrzymio żargon, słycać rosyjski, rzadko polski; w ogrodzie Saskim panuje polszczyzna, czasem żargonem przeplatana.

Śłońce ma się ku zachodowi. Zewsząd śpieszą pracowite tłumy, by nie stracić kilku godzin czasu dla interesu. Niedawną ciszę zastąpił zwykły gwałt. Stotysięczny któryś szabas w niewoli zapadł w przeszłość.

STOSUNKI WYZNANIOWE. BÓŻNICE. SEKTY.

Nie jest i nie może być zamiarem naszym przedstawianie strony dogmatycznej religii żydowskiej; przekraczałoby to znacznie kompetencję i ramy pracy niniejszej. Chodzi tu po prostu o uwydatnienie niektórych stron



Ulica Świętokrzyska w sobotę o godzinie 12 w południe. Ruch handlowy zamart.



Ulica Świętokrzyska w sobotę o godzinie 12 w południe. Sklepy pozamykane.

społecznych, organizacyjnych, zewnętrzno-formalnych, które mogą posłużyć do dalszych wniosków.

— Każdy prawie Żyd umie czytać i *modlić się*—tak brzmiała odpowiedź na jedno z pytań, religii żydowskiej dotyczących.

Ze zdania powyższego możemy wyprowadzić kilka ciekawych wyników.

Oto przede wszystkim *modlić się* znaczy tu nie tylko wznosić myśl do Boga, ale i umieć, rozumieć i komentować święte teksty: *Torę* (znany u nas pięcioksiąg Mojżesza), *Talmud* i inne.

Ten poniekąd spekulacyjny charakter modlitwy wyjaśnia nam odrazu fakt, dlaczego w synagogach spotykamy o wiele więcej mężczyzn, niż kobiet. Dlatego także umiejętność modlitwy jest tu tak koniecznie i nierozdzielnie złączona z umiejętnością czytania.

Każdy z dziesięciu modlących się Żydów stanowi regularne zebranie religijne, wspólnej modlitwie poświęcone, które z pośród siebie samo wskazuje intonującego teksty, jako formalnego czysto kierownika.

I to drugie twierdzenie bardzo bogate jest w konsekwencje.

Po pierwsze tłumaczy nam istnienie tej olbrzymiej liczby bóżnic i domów modlitwy, nieznaną żadnemu z innych wyznań, która tak znakomicie ułatwia każdemu spełnianie obowiązków religijnych, zbliżając miejsce wspólnego kultu do jego mieszkania.

Te setki bóżnic i domów modlitwy, które mamy w Warszawie, są to wyłącznie przedsiębiorstwa prywatne, utrzymywane przez osoby pojedyncze (wynajmujące na oznaczone dni i godziny pokój lub kilka pokoi dla celów kultu) lub przez zbiorowości (w pewnej mierze stowarzyszenia), wyłącznie dla tego celu formowane.

Z drugiej strony, możność samodzielnego odprawiania modłów, a zatem w niejakiemu stopniu także i komentowania tekstów świętych, sprzyja niezmiernie tworzeniu się sekt religijnych. Obserwujemy tu to samo zjawisko, co

np. w społeczeństwie kalwińskim w Genewie, gdzie znajdujemy wszelkie odcienie sekt, poczynając od prawie zupełnie racjonalistycznej lewicy aż do t. zw. „Eglise libre”, który przechował do dziś dnia nietykalne drakońskie przepisy Kalwina, zabraniające wiernym uczestniczenia w teatrach i widowiskach.

I w społeczeństwie wyznaniowym żydowskim spotykamy dużą skalę różnic w pojmowaniu Pisma. W Berlinie np. istnieje gmina wyznaniowa żydowska, utrzymująca synagogę, w której kobiety modlą się pospołu z mężczyznami w niedzielę, nie w sobotę, bez czapek, przy towarzyszeniu chóru mieszanego, z mężczyzn i kobiet złożonego, i przy dźwiękach organów. Jest to poprostu rewolucja, w porównaniu chociażby z tem, co widzimy w warszawskiej postępowej synagodze na Tłomackim, gdzie jest wprawdzie organ, ale przygrywa tylko na weselach i w t. zw. wolne święta.

Na gruncie takich rozmaitych różnic formalnych, a może i dogmatycznych, istnieje więc i ta cała skala od Żydów postępowych do konserwatywnych, czyli ortodoksów. W różnice te, oczywiście, wchodzić nie możemy, wspomniemy tylko przy sposobności o *chasydach*, ażeby sprostować rozpowszechnione w naszym społeczeństwie błędne mniemanie, jakoby oni stanowili wyraz największej ortodoksalności w pojmowaniu Ksiąg Świętych. Tymczasem wcale tak nie jest. Chasydzi jest to sekta względnie młoda, licząca zaledwie lat dwadzieścia istnienia i nauczająca, że w modlitwie należy przywiązywać większą wagę do treści, do wzniesienia duszy do Boga, aniżeli do formy. Oznaczają się także wśród innych Żydów tem, że mają swoich świętych, cudotwórców, t. zw. *cadyków*, których nie należy przecież utożsamiać z rabinami, albowiem *cadyk* nie musi bynajmniej być rabinem.

WŁ. PRAWDZIC.

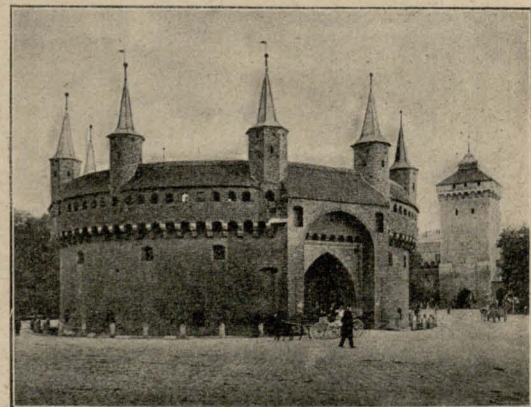
SPRAWA O „RONDEL”.



Targ na Grzybowie w sobotę. Gdzie zwykle wre handel, młodzież żydowska bawi się śniegiem.



Targ na Grzybowie w sobotę, godzina 12 w południe. Czysta i pustka.



O głośnej tej dziś w Krakowie sprawie piszemy w osobnym artykule na środkowych kolumnach niniejszego numeru.



W. Ks. Witold, prowadzący na nowo zebrane hufy Litwy do trzeciego boju. Szkic do panoramy Jana i Tadeusza Styki.

Grunwald Styki i Barbakan Krakowa.

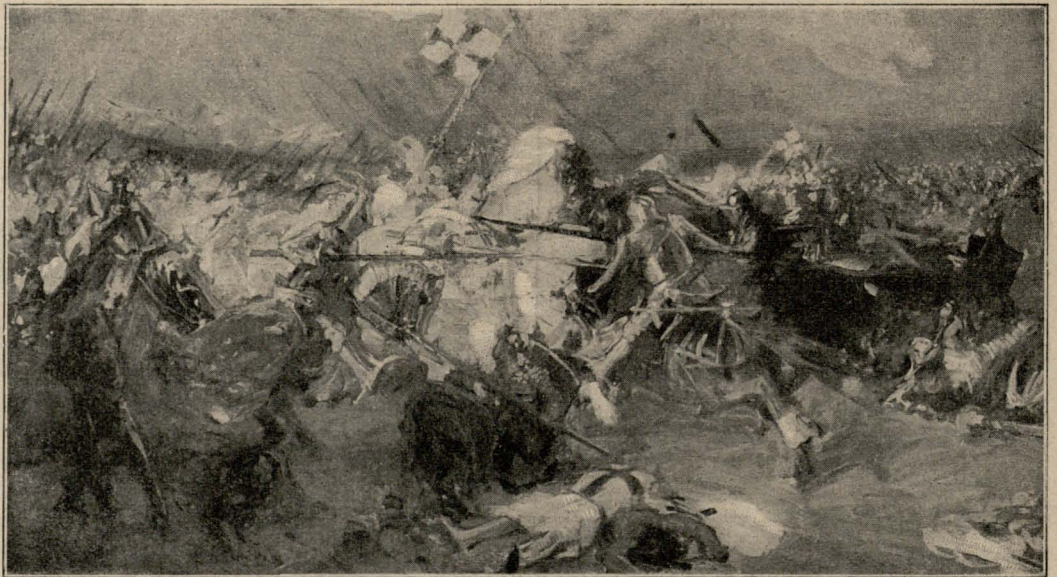
Wywiad naszego korespondenta u J. Styki.

Przed kilku tygodniami przybył do Krakowa p. Jan Styka z Paryża w zupełnie określonym celu uzyskania od miasta pozwolenia i pomocy przy urządzeniu panoramy, a raczej obrazu kolistego, przedstawiającego bitwę pod Grunwaldem.

Styka zapragnął dać dziełu swojemu niezwykle ramy i pomieścić je nie w budynku, w tym celu umyślnie wybudowanym, ale w Barbakanie, czyli Rondlu Floryańskim, brończącym wstępu do ulicy tej samej nazwy.

Każdy, kto widział ten wspaniały zbytek architektury wojskowej z piętnastego wieku, zdaniem znawców najpiękniejszy w Europie, pojmie z łatwością uczucia zakochanego w swoim pomysle artysty, który, mając wykonać go w mieście, taki zbytek posiadającym, zapragnął w nim właśnie umieścić swe dzieło.

I istotnie, zarówno wiek budowli, jak i temat obrazu, odpowiadają sobie w zupełności. Pod względem technicznym Barbakan



Starcie rycerstwa polskiego z Wielkim Mistrzem Ulrykiem. Szkic do panoramy Jana i Tadeusza Styki.

jest jakby stworzony na obraz panoramiczny, jest bowiem idealnie okrągły i odpowiednio wysoki.

Obecnie stoi pustką, tak że odpada także wzgląd na konieczność usuwania zeń cokolwiek.

Jednakowoż właśnie te niezwykle cechy przepięknego zabytku, które wzbudziły w panu Styce ten wielki zapal do myśli o pomieszczeniu w nim swojego obrazu, stały się argumentem przeciw planowi artysty, zostały użyte, jako broń, którą dzisiaj zwalczają jego pomysły mężowie, w sprawach artystycznych kompetentni i do strzeżenia naszych zabytków powołani.

Przeciw umieszczeniu w Barbakanie obrazu grunwaldzkiego podniosły się też wkrótce poważne protesty, zarówno ze strony konserwatorów urzędowych, jak ze strony miłośników sztuki, tej miary, co hrabia Piniński i wielu innych.

Każdy niemal dzień przynosi w tej mierze jakowyś protest, które prezydium miasta składa na jeden stos razem z replikami i odpowiedziami p. Styki na zarzuty, czynione jego planowi.

Toczą się tedy w spokojnym i może nawet zbyt zrównoważonym Krakowie boje



Walka o sztandar polski. Szkic do panoramy Jana i Tadeusza Styki.

prawie homeryckie. Powoli formują się dwie partye: za i przeciw pomysłowi pana Styki. A ojcowie miasta, którzy niebawem będą mieli rozstrzygnąć tę sprawę, już dziś łamią sobie głowy nad sposobem, w jaki zdołają usłuchać jednych „autorytetów”, a nie obrazić wprost przeciwnych.

* * *

Chcąc czytelników *Tygodnika* o samym obrazie dokładniej poinformować, udałem się do hotelu, w którym pan Styka rozbił swoje namioty.

Zastałem go właśnie nad konceptem jakiejś nowej odpowiedzi na jakiś nowy protest. Obok syn jego, pan Tadeusz Styka, już dzisiaj ceniony malarz, szkicował coś w skupieniu.

Po chwili wstępnej rozmowy obaj już z zapalem, świadczącym, jak bardzo ukochali swoje dzieło—właściwie jest ono wspólną własnością ojca i syna, co ojciec przy każdej

sposobności z naciskiem podnosi— objaśniali mi sześć wielkich szkiców, które z sobą z Paryża przywieźli, a których podobizny mają czytelnicy przed sobą.

Zawiera się w nich cała koncepcja obrazu bitwy grunwaldzkiej. Największy bohater w tej bitwie, ks. Witold, na czele silnego zastępu rycerstwa, zebrawszy niedobitki swego wojska, rozproszonego w dwóch pierwszych bitwach, obchodzi dokoła całą armię polską i, z mieczem dobytym w dłoni, rzuca się na Krzyżaków z boku, decydując w ten sposób o losach bitwy. Od tej też grupy Witolda rozpoczyna się cały obraz, jeżeli nań patrzemy od lewej ręki ku prawej.

Nieco dalej, u stóp wzgórza, na które właśnie wyjechał Witold, wre ta słynna trzecia bitwa, która po dwóch pierwszych niefortunnych porażkach polskich wojsk pomocniczych przyniosła orężowi polskiemu tak świetne zwycięstwo.

Właśnie rycerski Wielki Mistrz Zakonu, Ulryk von Jungingen, rzucił się do boju, odpowiadając tym, którzy go do ucieczki nakłonić usiłowali, pamiętnymi słowy:

— Nie daj Bóg, abym uszedł z pola, na

cisawym koniu, wpatrując się w pole walki, na którym kłębią się zastępy walczących. Obok króla siostrzanowie jego, Zygmunt Ko-

rybut i książę Feduszka, Piotr Medyolański, czeski baron Żorawa Bieniasz Wierusz, Jan Mężyk z Dąbrowy i młody sekretarz królewski, Zbigniew Oleśnicki, jeszcze z kawałkiem kopii w ręku, którą powalił przed chwilą leżącego opodal rycerza luzackiego, Dypolda Kiekeritza von Diebera.

Nowość w tym obrazie panoramicznym stanowi to, że nie będzie on obejmował pełnego koła, ale tylko trzy ćwierci jego obwodu, tak aby widz, stanąwszy na środku przeznaczonych dla siebie podium, mógł od razu objąć okiem całość obrazu, a nie potrzebował się niepokoić tem, co mu się jeszcze za plecami kryje.

* * *

Tak w obecnym stadium przedstawia się ta ciekawa i niewątpliwie ważna sprawa panoramy grunwaldzkiej. Jak się ona ostatecznie zakończy, dowiemy się niebawem.

K. S.



Żyżka na wozach obronnych walczy z nawałą teutońską. Szkic do panoramy Jana i Tadeusza Styki.



Namiot króla polskiego i przygotowanie konia. Szkic do panoramy Jana i Tadeusza Styki.

którem tyłu walecznych padło!

Zwarli się z dzielnym krzyżakiem rycerze polscy, tworząc grupę, którą artysta w swoim szkicu pochwycił z ogromnym poczuciem ruchu i charakteru średniowiecznego boju.

Na trzecim szkicu widzimy słynny epizod walki o sztandar polski, który przez jedną chwilę znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie, kiedy to, po rozproszeniu zastępów litewskich, rzucili się panowie polscy zbyt pośpiesznie do boju z upojonym już pierwszemi zwycięstwami wrogiem.

Zyndram, Zawisza Czarny, Nałęcz Habdank, Jelita i wielu innych walczy tu z furją, nie ustępującą teutońskiej.

W głębi za nimi ciągnie Żyżka ze swoimi wozami warownymi, zachodząc krzyżakom flanki.

Nad nim zaś powiewa sztandar narodowy czeski z lwem pozłocistym po środku.

Po prawej stronie wreszcie namiot królewski na tle świeżo wyrąbanego lasu i grupa królewska z Władysławem Jagiełłą na pierwszym planie.

W pozłocistej swej zbroi siedzi król na



Jagiełło w otoczeniu dworzan. Oleśnicki z kopią złamaną. Szkic do panoramy Jana i Tadeusza Styki.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

„Sąsiadka”, trzyaktowa lekka komedia T. Jaroszyńskiego.—*Podniesienie się poziomu naszej sceny dramatycznej.*—*Nowa farsa francuska w Teatrze Letnim.*—*Publiczność przepelnia sale teatralne i koncertowe.*—*Kubelik i Kubelikowie.*

Oryginalna sztuka polska, sympatyczne i dość znane imię literackie autora, w sztuce nowa, duża rola dla Kamińskiego... nie trzeba narazie więcej dla uczynienia świetną *premiery*. Była też nią *premiery* „Sąsiadki” Tadeusza Jaroszyńskiego, powieściopisarza i krytyka artystycznego, serdecznie cenionego w świecie literackim i towarzyskim Warszawy dla szerokiej kultury umysłu i kryształowej szlachetności osobistych przymiotów.

A skoro okazało się, że sztuka posiada istotne zalety i niezaprzeczone znamiona talentu scenicznego; skoro w dodatku okazało się, że grana jest znakomicie przez tryumwirat głównych postaci (pp. Ordon-Sosnowska, Kamiński i Wojdałowicz)—tedy dziecko trzyletnie rozwiąże tajemnicę dalszego i trwającego dotąd powodzenia owej bezprezesyonalnej „Sąsiadki”.

Krotchwila to o niektórych momentach i figurach komedycznych, uderzająca nawet chwilami, a całkiem zbytecznie, w ton tragiczny, powiedzmy, w struny tak poważne, że dreszcz przebiega po rozbawionych nerwach. Błąd to niewprawności pisarskiej, na szczęście zatuszowywany zbawiennie przez czujny i wytrawny zespół artystów.

Na tle niewyszukanego pomysłu spodobało się p. Jaroszyńskiemu rzucić nam przed oczy wizerunek bardzo dosadny, bardzo charakterystyczny i w dodatku bardzo swojski. Ujął ten wizerunek w ręce swoje majster nielada, skończony wirtuoz kunsztu aktorskiego, Kamiński i—ową kanalią, Eustachym, jakby przygłuszył sztukę całą. Oglądanie na scenie owego Eustachego—wystarcza.

A wystarczać nie powinno. Sztuka jest głębsza, niż z pozorów sądzić wolno. Nie tylko mąż zdradza żonę dla jakiejś kabaretowej ladacznicy i wraca przykładnie, skruszony, do rodzinnego ogniska; nie tylko żona zostaje przykładnie za to ukarana, że z nudy i przez swawolę pozwoliła sobie wystawić na próbę „cnotę” męża, w dodatku, niedoświadczonego. Zasadniczy temat sztuki nie leży w tej lub owej fabule, lecz w zestawieniu pocziwej natury wieśniaka-ziemianina (teść owego męża usidlonego) z naturą takiego urwipolcia, karyerowicza i skończonego szelmy przewrotnego, lak Eustachy. Dyalogi też przyjaciela domu, Eustachego, z zacnym panem Dyonizym, zaprawione bardzo subtelną ironią, ścierające ze sobą dwa światopoglądy biegunowo przeciwległe, należą do przednich ozdób koncepcji ideowej, oraz stylu w „Sąsiadce”.

Odgadł bystro intencję autora p. Wojdałowicz, wychodzący ostatnimi czasy coraz wyraźniej na pierwszą linię naczelnych sił sceny naszej dramatycznej, i przeto swego, napozór pospolitego papę Dyonizego grał z taką dyskretyą w charakterystyce zewnętrznej i z tak wytwornym humorem.

I tak oto, od *premiery* do *premiery* aniśmy się spostrzegli, jak w szybkim tempie i wcale wszechstronnie podniósł się poziom naszej sceny dramatycznej, jak zapanowały zapobiegliwa staranność i traktowanie rzeczy seryo tam, gdzie się imprezę spychało z dnia na dzień, w gnuśnym rozprężeniu wszystkich czynników.

A może nagle spadły na scenę naszą, jak manna z nieba, arcydzieła? Bynajmniej. Arcydzieła nie rodzą się dziś wogóle na niwie wszechświatowej twórczości scenicznego. Osiągnięto nato-

miast na scenie naszej to, że każdą bez wyjątku sztukę wystawianą podnosi się, nie zaś obniża. Podnosi się: to wystawą, to reżyseryą, to grą, to (jak np. w „Sąsiadce” ukazaniem się Kamińskiego, którego nam każda wielka scena europejska pozazdrościć może) niepowszednim popisem na tle wybornego zespołu, to... wszystkimi tymi naraz czynnikami.

I przeto nie dziw, że *każda* dziś premiera w Rozmaitościach budzi zainteresowanie się i oczekiwanie wśród publiczności, że, bez względu na to, co jest dawane, publiczność na ślepo wykupuje salę do ostatniego miejsca, pewna, że w tym względzie lub owym, a może i pod każdym względem ukontentowana zostanie.

I nie doznaje zawodu.

Teatr Letni w ogrodzie Saskim też, po chwilowym zachwianiu się dwóch, trzech *premier* ostatnich, wygrał znowuż pokaznego atuta wcale nie „nadzwyczajną”, aczkolwiek o głośnej renomie paryskiej, farsą Jerzego Feydeau, „*Occupe toi d' Ame-*



Teatr Mały. Scena ze „Ślicznotki” Najdienowa.

lie!” Ale—jakże wyśmienicie grana i reżyserowana! Sprośna, że, Boże ratuj, a właściwie nie tyle sprośna, ile drastyczna, lecz cóż za pole do popisu dająca p. Ćwiklińskiej, która, jak widać, dłuższego swego pobytu nad Sekwaną nie zmarnowała. Wykierowała się na pierwszej klasy „wodewilistkę” (jak mówiono za drugiego Cesarstwa), a natura dała jej z przyrodzenia dar... bawienia się samej na scenie. A nic tak nie udziela się sali, jak własny dobry humor i rozbawienie się samych artystów.

Oni tam wszyscy w Teatrze Letnim mają dar wrodzonego, żywiołowego, nieco łobuzowskiego dobrego humoru. Jedni drugich, bywa, podniecają do werwy i swawoli, i przez to oddziałują tak „elektryzująco” na „swoją” publiczność. Gdy zaś czasem humor nie dopisze, zastępuje go znakomita, wytrawna rutyna aktorska i pełna swoboda w wyśmienicie zgranym z sobą zespole. Widz i słuchacz nie spostrzega—roboty, tak zręczna, tak pełna naturalności i tak idzie, jak z płatka.

Słychać, od czasu do czasu, wyrzekania: Ach! ta nasza publiczność! Chodzi tylko na farsę i operetkę!

Za pozwoleniem. Nie chodzi bynajmniej i tylko na farsę i operetkę. Chodzi, i jak jeszcze! na takich „Sędziów” Wyspiańskiego, którzy, jak wiadomo, nic wspólnego nie mają z farsą i operetką; ba! chodzi nawet na „Erosa i Psychę” Żuławskiego, gdy w sztuce gra pierwszą rolę p. Mirska; chodzi, jak się rzekło, skwapliwie do Rozmaitości; chodzi nawet—na operę, pomimo że wzorową jej nie nazwać.

Publiczności teraz wogóle pełno co wieczór we wszystkich salach teatralnych... i koncertowych. I nie tylko, gdy gra w Filharmonii Kubelik na arcydziele skrzypiec, z niedościgłym wirtuozostwem techniki.

W pewnej recenzji wyczytałem niedawno, że Kubelik „jest wykonawcą i nic innego, jeno wy-

konawcą”, a kilkadziesiąt wierszy dalej, że „gra tylko bardzo biegle i nic więcej”.

I—nic więcej! Nie dość na tem. Wyczytałem dalej, że „gra Kubelika jest nudna, szara, pozbawiona ciepła w pieśni, polotu w fantazyi, stanowczości lub wdzięku w rytmice”.

Oto jakich komplementów doczekał u nas skrzypek nad skrzypkami, którego rozgłosu pełne są obie półkule ziemskiego globu.

Jakże jednak? Czyliżby wyływało z cytaty powyższych, że Kubelik, będąc biegłym wykonawcą, jest atoli wykonawcą — *złym*? Cofnąłbym się przed tak heroicznym, aczkolwiek logicznym wnioskiem.

Powiedzmy nieco inaczej. Kubelik jest wykonawcą świetnym, ale szkoda wielka, że gra utwory muzyczne często błahe, byle mu tylko dawały pole do popisowania się bajeczną techniką. Wszak takie „Waryacje” Paganiniego są niczem innym, jak tylko popisową kompozycją dla skończonych wirtuozów. Publiczności *zdaje się*, że pokonywanie bez najmniejszego wysiłku, a ze zdumiewającą sprawnością piekielnych trudności jest *szczytem* mistrzostwa w sztuce muzycznej. Tak nie jest. Należy to publiczności koncertowej, nie znajdującej dość słów zachwyty dla Kubelika, wytłómaczyć, dać jej to odczuć, oderwać ją od entuzjazmowania się sztuczkami i wyuzdanem wirtuozostwem.

Kubelik nie posiada silnej indywidualności. W wykonawcy uznałbym to rychlej za zaletę, niż za wadę. Niech mi po swojemu nie indywidualizuje twórców tych dzieł muzycznych, które ma wykonać ściśle według wskazówek nut. Nie ciekaw jestem indywidualności Kubelików. Ciekaw jestem tego, co mieli w duszy swojej Beethoven, Chopin i inni, wielcy naprawdę. Kubelikowie to, nie przymierzając, jakby doskonałe, wrażliwe instrumenty, zdolne odtworzyć to, co potworzyli najwięksi nawet muzycy. Nie wymaga-

gajmy od Kubelików niczego więcej. I tak już wiele, że *potrafią* zagrać (jak należy) skomplikowane, trudne, a przepiękne utwory muzyczne, które by inaczej leżały martwe i nieme wpośród nas.

I owóż, zdaje mi się, że Kubelik... umie przecież zagrać, jak należy, dany utwór muzyczny tak, jakby sobie tego życzył kompozytor. Ten lub ów recenzent może oczekiwał interpretacji—innej. Ale czy ta oczekiwana interpretacja byłaby zgodniejsza z intencją twórcy-kompozytora? Któż ma rozstrzygnąć tę wątpliwość? I na jakiej podstawie pozytywnej, jeśli wirtuoz uwzględnił skrupulatnie wszystkie wskazówki kompozytora?

Zresztą, dwaj wielcy współzawodnicy Kubelika, Ysaye i Thibaud, nie za górami. Koncerty ich warszawskie już zapowiedziane. Zobaczymyż, co one nam powiedzą.

CZ. JANKOWSKI.

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

STANCE.

JAN MORÉAS.

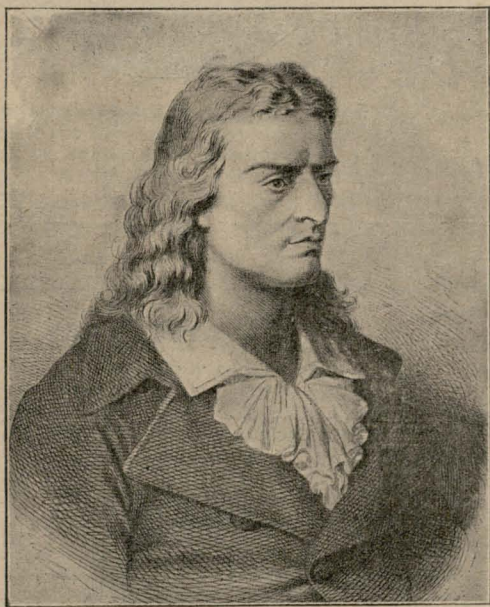
Kiedyż wreszcie, rzuciwszy wszystkie zbędne troski
I nudną pospolitość bezlitosnych miast,
Będę mógł spocząć w szumnych borów ciszy boskiej,
Albo na cichym brzegu jezior pełnych gwiazd.

Chociaż wolałbym raczej śnić w twym złotym piasku.
Morze, kolebko słodka mych najpierwszych lat:
Słuchałbym mew twych dzikich żalosnego wrzasku,
A wzrokby mi odświeżył pian twych białych kwiat...

Azali mię zadziwiasz, wczesna zimo mroźna?!
Wszakżem roztrwoniał wszystek darów wiosny plon,
I nie padła pod sierpem moja niwa zbożna
I inni ścięli pyczę mych jesiennych gron.

Poeta wolnych Niemiec.

W jednym z najczarowniejszych zakątków ziemi szwajcarskiej, nad jeziorem Czterech Kantonów, strzela ku niebu stroma krzesanica, wyniosłym wierzchołem przegładająca się w szmaragdowych falach, a na niej widnieje krótki, lecz wymowny napis: „Śpiewakowi Tella, Fryderykowi Schillerowi, pra-kantony, 1859”. Tu, gdzie, wedle podań, rozgrywała się tragedia Tella i Gesslera, potomkowie tych, co pod Morgarten i Sempach oddawali swe życie za wolność ojczyzny, wzniesli pomnik wiecznotrwały jednemu z najszlachetniejszych duchów nowoczesnych Niemiec, w setną rocznicę jego urodzin. Tu, gdzie każdy powiew wiatru zda się nieść ku nam straszny świst Tellowej cięciwy, gdzie każda skała po-



Fryderyk Schiller.

wtarza pełne skupienia i majestatu głosy zgromadzonych, przy świetle księżyca i pochodni, w dolinie Rütli pełnomocników trzech prakantonów, którzy poprzysięgają sobie umrzeć—lub strącić jarzmo obcego najeźdźcy, jak w cudownej wizji, przesuwają się przed tęsknym wzrokiem wędrowca z nad Wisły szarej brzegów potężne sceny „Wilhelma Tella”, powołane do życia genialną wyobraźnią poety wolnych Niemiec.

Dziś, gdy mija lat 150 od chwili, gdy w miasteczku Marbach w księstwie Würtberskiem ujrzał światło dzienne przyszły pieśniarz „Don Carlosa”, gdy na ziemi jego ojczyściej panoszy się buta i nienawiść, godzi się wspomnieć o tej najszczytniejszej epoce dziejów Niemiec, gdy ziemia germańska, rozdarta na dziesiątki księstw i księstewek, jęczała pod brzemieniem samowoli tyranów-władców, ale duchy młode uczuły się wolne, a zażęgłszy pochodnie miłości prawdy i swobody u wielkiego ogniska Francji, ponieśli je przed swoim narodem. Literatura epoki *Sturm und Drang*, która wypiastowała młodzieńczego ducha Schillera, była rewolucją nie tylko w znaczeniu estetycznym: ona była głośnym protestem przeciwko bezprawiu i okrucieństwu tych, co pomazańcami Boskimi się zwali, płomienną obroną sponiewieranych praw i uciśnionych ludów.

W młodości swojej zaznał był gorzko przyszły autor „Fiesca”, czem jest opieka możliwych tego świata. Kiedy pałający szlachetnym ogniem zapału i wiary młodzieńczej 18-letni wielbiciel Rousseau'a i jego „Umowy społecznej” wyrzucił z siebie w „Zbójcach” krwawy

hymn zagłady dla starego świata, świata obłądy i czarnej zbrodni, uosobionej w postaci Franciszka, któremu, w myśl genialnych paradoksów Rousseau'a, przeciwstawił człowieka natury, marzyciela-rozbójnika Karola, wówczas protektor Fryderyka, arcyksiążę Karol würtberski, nie tylko rozkazał zdjąć dramat z repertuaru teatru manheimskiego, ale i surowo zakazał swemu pupilowi pisania „komedy i tym podobnych utworów”.

Młodociany poeta nie poddał się despotycznej woli władcy i opuścił potajemnie Stuttgart, skazując się na długoletnią tułaczkę. Duch oporny nie uchylił czoła przed zawieszonym na żerdzi kapeluszem Gesslera. I odtąd staje się Schiller wodzem irredenty poetyckiej, której pożar rozlał się szeroko poza granice Niemiec.

Jak Herder był przewodnikiem duchowym jednego z prekursorów naszego romantyzmu, Kazimierza Brodzińskiego, śpiewaka „Wiesława”, tak Schillera uważać można za jednego z ojców chrzestnych naszej poezji romantycznej. A nie był chrzest z wody, lecz z ognia, bierzmowanie rycerskie na bój za wolność i prawdę. Gdyby nie Schiller, nie byłoby ni „Pieśni filaretów”, ni „Ody do młodości”, nie byłoby dramatów Słowackiego. Tak namiętne umiłowanie ideałów burzy i w nicłość obraca granice etnograficzne plemion i narodów.

Dziś—„inne zwyczaje”. Dziś przyćmił się blask tego jasnego ogniska, przycichł doniosły niegdyś głos wielkiej pieśni buntu. Dziś w ojczyźnie Schillera inne płoną światła, inne rozlegają się głosy. Powstają z grobu „stare zbrodnie świata, przybrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem”. Niewola ducha powraca w swej dawnej ohydzie. Franciszek zwycięża Karola, król Filip—markiza Posę, Gessler—Tella. Szlachetne hasła poezji schillerowskiej stały się pustym dźwiękiem w państwie „bojaźni Bożej”, w państwie hakaty i dumnej pickelhauby, urągającej światu i wszelkiej moralności. Ucisk i gwałt, napiętnowane stygmatem hańby w „Zbójcach”, w „Don Carlosie”, w „Intrydze i miłości”, w „Fiescu”,



Scena z „Wilhelma Tella” Schillera. Sprzysiężenie w dolinie Rütli.

stały się dogmatem wiary politycznej i narodowej. Bismarck w wyobraźni dzisiejszego Niemca pokonał Schillera.

Czy na długo? czy nie będzie to pyrrrusowe zwycięstwo? czy wielki duch Germanii ocknie się i rzuci z siebie te „płachty ohydne” i przypomni światu o dawnych swych tryumfach?

Wierzmy, że tak być musi. Wierzmy, jak nasz poeta-marzyciel, że „duchy lecą, jak łańcuch żorawi, w postęp”...

A na trudnej drodze do owego postępu przewodnikami są cierpiącej ludzkości ci, co, jak Schiller, są dla wszystkich narodów mojąszowym słupem ognistym w mroku terażniejszości. hg.

Przyszłość Pragi.

Tuż pod bokiem Warszawy rośnie, rozwija się, grzmi i huczy przez dzień cały nieustającym ruchem Praga, historyczne przedmieście stolicy kraju, dzisiaj łączące się już niemal bezpośrednio z również historycznym Grochowem.

Kilkanaście minut drogi pieszej dzieli od niej mieszkańca Warszawy, a jednak tam, za mostem, bywamy tylko wówczas, gdy zmusza nas do tego potrzeba dostania się na któryś z dworców kolejowych prawego brzegu Wisły. Pragę znamy też tylko z przejazdu, z dorożki lub z okien tramwaju. Poza tem jest ona dla nas zupełnie obca, jest jakby zgoła innym miastem, gdzie moglibyśmy odgrywać z powodzeniem rolę cudzoziemców. Nikt nas tam nie zna, i my nie znamy nikogo. I z pewnością, gdyby kto udał, że opuszcza Warszawę i rozgłosił o tem wśród znajomych, a następnie zamieszkał na Pradze, mógłby kilka lat spędzić w ukryciu, powróciwszy zaś, opowiadać, że był w Honolulu.

Tak już się dziwnie ułożyły stosunki. Odrębnym, własnem życiem żyje Praga, strzelająca ku niebu wieżami kościoła św. Floryana i zapatrzona w cudny obraz piętrzących się naprzeciw kamienic staromiejskich Warszawy.

Wzięli ją w posiadanie handlarze bydła i trzody chlewnej, kupcy i przemysłowcy. Tam odbywają się olbrzymie transakcje, toczy się pieniądz, powstają fortuny, o których na tym brzegu nikt nie wie, nikt wiedzieć nie chce.

Z małej, niepozornej Pragi, brudnej i zaniedbanej, zabudowanej przeważnie drewnianymi domkami, w ciągu ostatnich lat dwudziestu poczęła wyrostać Praga o znamionach i dążeniach wielkomiejskich. Ludność jej zwiększyła się w trójnasób, ulice jej zabudowały się trzy i czteropiętrowymi kamienicami, osiedlać się tam zaczęli adwokaci i lekarze, powstały bazyary i sklepy.

I to wszystko dokonało się niepostrzeżenie nawet dla publicystyki, która dotychczas nie zadała sobie trudu... przejścia przez Wisłę.

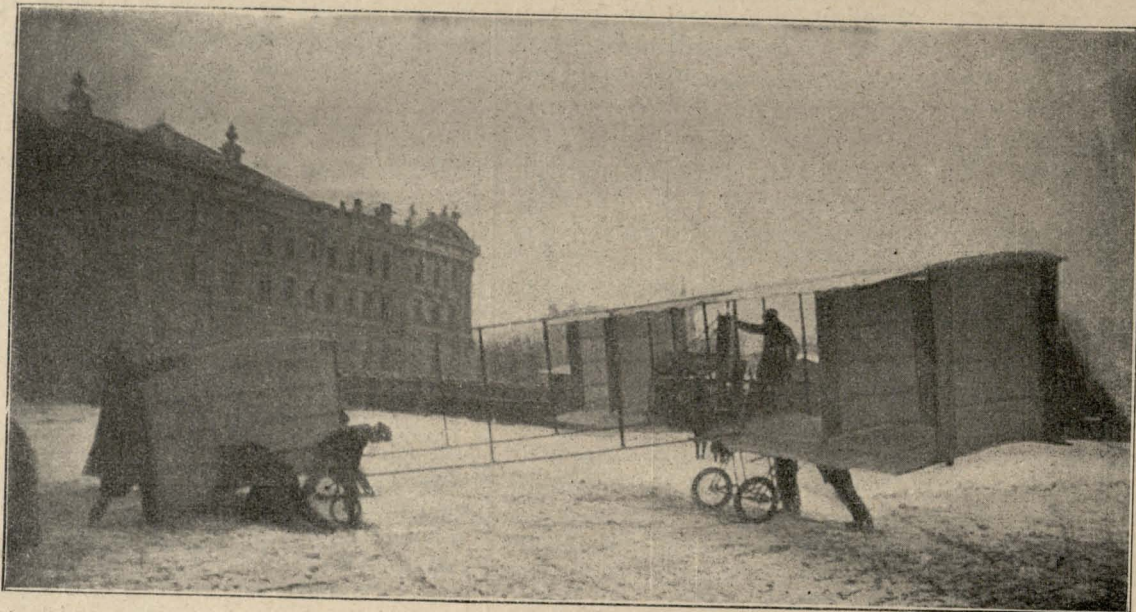
Chwila jednak, kiedy ten trud musi być podjęty, zbliża się szybkim krokiem. Naprzód trzeci most, później doniosły dla rozwoju Pragi projekt wybudowania wspólnego dworca dla kolei Nadwiślańskiej i Petersburskiej otwierają przed skromnym dotychczas przedmieściem perspektywę nowej ery.

I niewątpliwie będzie to era wzmożonego ruchu budowlanego i handlowego. Już samo znieśnienie dzisiejszej stacji kolei Petersburskiej połączy Pragę starą i nową w jedną całość i da obydwom tym częściom możność swobodnego wzrostu. Wzrost ten posiada zaś znaczenie doniosłe i zasadnicze dla Warszawy, od niego bowiem zależy częściowe przynajmniej rozwiązanie kwestyi mieszkaniowej.

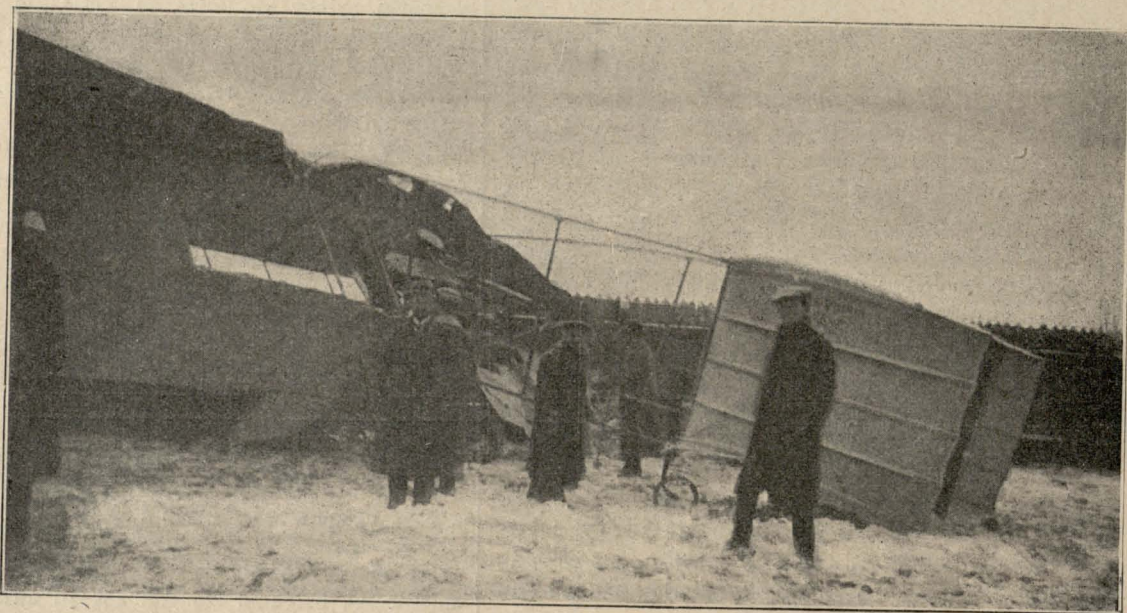
Praga, połączona z Warszawą przy pomocy dwóch mostów, skanalizowana, dobrze oświetlona i odpowiednio zabudowana, stanie się wówczas rychło nie przedmieściem, ale jedną z dzielnic wielkiej Warszawy, która dusi się na szczupłym swoim terenie i, nie mogąc zagarnąć pola Mokotowskiego, chętnie przerzuci się za rzekę, zrywając z dotychczasową swoją obojętnością dla wiernej, tylowiekowej siostrzycy, słuchającej z nią razem szeptu fal wiślanych na smętnej ich drodze od Wawelu do Gdańska. Z. D



AEROPLAN W WARSZAWIE.



Aeroplan bar. Catersa, przygotowany do wzlotu.]



Aeroplan bar. Catersa po katastrofie.

fot. p. Lebidzińskiego.

Stanowczo nie wiedzie się lotnikom w Warszawie: pierwsza impreza tego rodzaju nie udała się z powodu niedostatecznej sprawności przyrządu i... awiatora. Drugą, barona Catersa, udaremniła fatalna pogoda. Wreszcie, gdy, w ostatni dzień, śmiały żeglarz napowietrzny postanowił, bądź co bądź, dokonać wzlotu, uległ katastrofie: chcąc wyminąć, przy opuszczaniu się, stojącego na posterunku policyjanta, wpadł na płot i uszkodził swój aeroplan, poczem, zniechęcony Warszawą, nie z jej winy zresztą, odjechał tegoż dnia do Konstantynopola. Może w krainie Młodo Turków lepiej udadzą mu się wloty...

Uczczenie zasług.

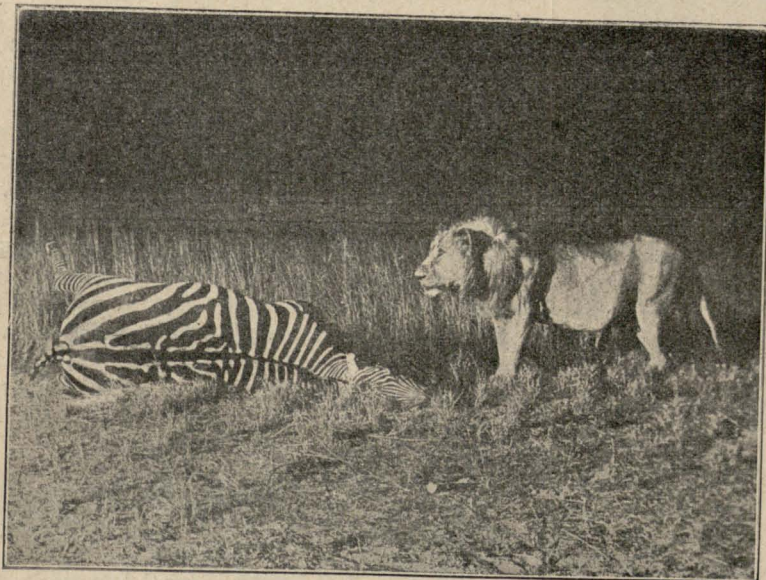
Pierwsze nagrody im. ś. p. Franciszka Lewentala za najlepsze utwory literackie w ostatnim pięcioleciu przypadły w udziale dwu wybitnym autorom polskim: znakomitemu powieściopisarzowi, Wł. St. Reymontowi, za drukowanych w na-

szem piśmie „Chłopów”, oraz St. Przybyszewskiemu za dramat p. t. „Odwieczna baśń”; każdemu z laureatów przypadła połowa odsetek od ofiarowanych przez panią Hortensję Lewentalową, dla uczczenia ś. p. jej męża, 4,500 rubli, w ilości rb. 425; nagrodami, w myśl życzeń ofiarodawczyni, rozporządził Komitet Kasy Literackiej.

Jednocześnie Komitet im. Kasy dra J. Mianowskiego, mając w r. b. do rozporządzenia fundusz z zapisu Z. Pileckiego w ilości rb. 900, rozdzielił go pomiędzy trzy prace naukowe, celujące gruntownością wiedzy, a zarazem zaletami popularyzatorskimi: rb. 300 otrzymał współpracownik naszego pisma, p. Henryk Mościcki, za znaną naszym czytelnikom gruntowną pracę: „Wilno i Warszawa w Dziadach Mickiewicza”; rb. 450—p. Henryk Radziszewski za „Skarb i organizację władz skarbowych w Królestwie Polskim” tom II, rb. 150 wreszcie—prof. Karol Appel za broszurę naukową, p. t. „Język i społeczeństwo”.

Portrety na dobie.

WOJCIECH SAWICKI, dyrektor Banku Handlowego w Warszawie, dokonał czynu obywatelskiego niemałej wagi, za jego bowiem staraniem



W puszczy afrykańskiej. Polowanie na lwa z przynętą i z... aparatem fotograficznym.

dyrekcja Banku postanowiła nie tylko stałe płacić wpisy za dzieci wszystkich swich pracowników i oficjalistów (w liczbie przeszło 300 młodzi), ale i zapewniła bezpłatną edukację dzieciom tych ze swoich pracowników, którzy zachorują, umrą, lub staną się niezdolnymi do pracy. Oby piękny ten czyn znalazł licznych naśladowców!

ZMARLI.

STANISŁAW KROPIWŃICKI, wybitny przemysłowiec i kupiec w zakresie przemysłu zbożowego i mącznego, wychowaniec politechniki



w Leodyum w Belgii, od r. 1861 kierownik wielkiego młyna parowego w Słodowcu pod Warszawą, oraz dwu piekarni w samym mieście, zatrudniających 150 robotników, którym podczas pamiętnych strajków 1906 roku oddał w dzierżawę przedsiębiorstwo, ruchliwy przemysłowiec i zany obywatel.

Jubileusz pracy.

Jeden z najpopularniejszych i dla liczego ogółu interesantów najbardziej sympatyczny pracownik w branży ekspedycji celnej, w tych dniach obchodził trzydziestopięcioletnie swoich trudów. Mówimy o p. Henryku Kempnińskim, przedstawi-



cielu najstarszej w mieście firmy ekspedycyjnej Juliusz Herman. Z działalnością młodego jeszcze i zawsze ruchliwego jubilata jest zespolona znaczna część naszego ruchu wwozowego. W podzięce za jego niestrudzoną uprzejmość, z jaką od lat tyłu załatwia potrzeby przemysłu, nader liczni przedstawiciele kupiectwa w dobie jubileuszu ślą mu, wraz z nami, życzenia długiej jeszcze i równie, jak dotychczas, owocnej pracy.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe**
J. FRUZIŃSKI.

W. Golińska

PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI,
PERFUMY, WACHLARZE, SZPIŁKI.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że **WODY MINERALNE SZTUCZNE** wyrobu **WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“** ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu Zarząd.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne sprzedaje wszędzie.

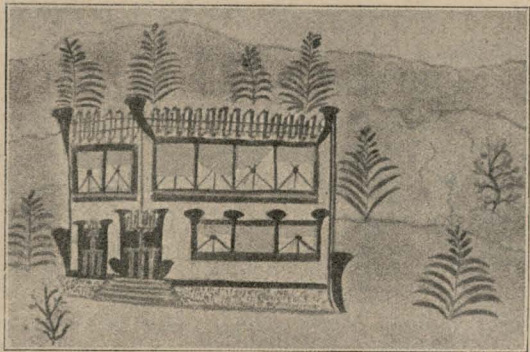
„**ŚMIECH**” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

Przechowanie Mebli
„SYRENA”
Krak. Przedm. 38. Telef. 11-22

Wieści z Marsa.

Wiele mówią teraz w Warszawie o doświadczeniach prof. Ochorowicza z p. Stanisławą Tomczykówną. Nie od rzeczy będzie tedy przypomnieć ciekawy fakt somnambulizmu, w którym medyum zawędrowało we śnie aż na Mars i dostarczyło wieści stamtąd.

Dostarcza nam do tego sposobności i materiału książka, wychodząca obecnie w czwartym wydaniu, której autor, T. Flournoy, profesor psy-



Dom Astané. Niebo zielonawe, grunt, góry i mury czerwone.

chologii na uniwersytecie genewskim, daje zupełną rękomię poważnego traktowania rzeczy *).

Chodzi tu o doświadczenia kółka spirytystów genewskich z r. 1894-go. Medyum, Helena Smith, panna trzydziestoletnia, jest z zawodu sklepową w wielkim interesie i obowiązki swoje spełnia doskonale; poza tem zawsze była bardzo nerwowa, usposobienia marzycielskiego, miewała halucynacje, a po zetknięciu się ze spirytystami w r. 1892-im okazała się doskonałym medyum.

Podczas swoich stanów somnambulicznych Helena Smith opowiadała o swoich dwóch wcieleniach poprzednich: w r. 1401-ym była córką szejka arabskiego, nazywała się Simandini i była zamężna za księciem indyjskim Sivruka Najaka, który panował w Kahara. Następnie w XVIII stuleciu była Maryą Antoniną, aż za dawne grzechy swoje została zdegradowana na obecne skromne stanowisko. W takim stanie odbyła podróż na Mars, skąd przyniosła obrazy kraju, flory, fauny i mieszkańców, wzory pisma i języka tamtejszego.

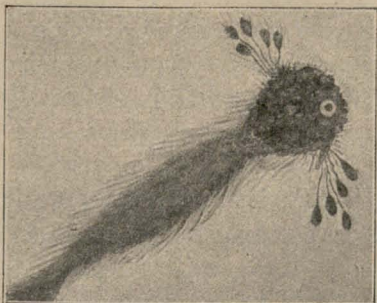
Flournoy dzieli wszystkie zjawiska, o których opowiadała, na trzy cykle: hinduski, królewski, wreszcie marsyański. Nas tu obchodzi tylko ostatni.

Helenie pomaga inny duch, Leopold, który, zdaniem uczonego psychologa, jest jakby drugim jej wcieleniem, kwintesencją „najtajniejszych głębi organizmu psycho-fizyologicznego”.

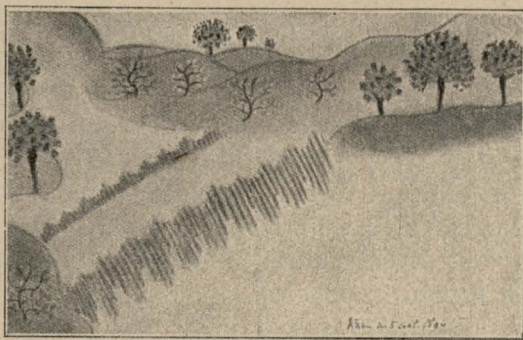
Ten Leopold zdradzał pewne tendencje w kierunku wcielenia poprzedniego, jako Wiktor Hugo, ale ostatecznie zdecydował się, że niegdyś był Cagliostrem. Tylko—wbrew historii i... romansom Dumasa, wedle których był głównym autorem głośnej historii „naszyjnika królowej”, tu okazuje się, że był w Maryi Antoninie zakochany i dlatego czuwa dziś jeszcze nad Heleną. Że autosugestyje somnambuliczne medyum powstały pod wpływem starego Dumasa, o tem świadczy także chwilowe wcielenie p. Smith w postaci nieszczęsnej towarzyski Józefa Balsamo, Lukrecyi Floriani, która, jak wiadomo, jest tylko tworem fantazyi znakomitego powieściopisarza.

Leopold również jest rodzajem przewodnika po Marsie. Oto opis pierwszej podróży:

„Helena znajduje się w gęstej mgle, ciągle



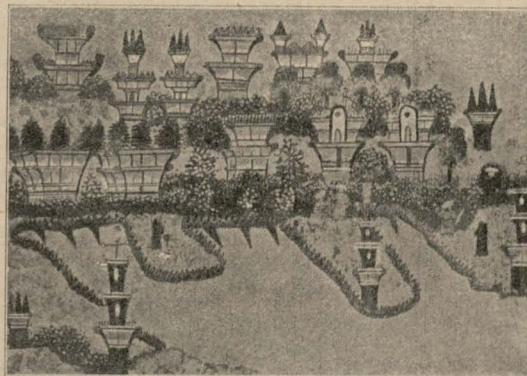
Okaz fauny na Marsie. Potwór różowy o jednym oku zielonem.



Ołówkowe rysunki automatyczne Heleny Smith. Pejzaż na Marsie. Most czerwony. Jezioro niebiesko-różowe. Wzgórki i brzegi czerwone. Żadnej zieleności. Drzewa czerwone i fioletowe. Kolory na zasadzie opowiadania medyum.

zmieniającej koloru, od niebieskiego do mocno czerwonego, do szarego i czarnego. Mówi, że płynie, i stół wykonywa ciekawe ruchy pływania. Czuje, że wznosi się i widzi gwiazdę, która zwiększa się, zwiększa ciągle, aż staje się większa, „niż nasz dom”.—Po czym chodzę?—zapytuje.—Po ziemi Marsa—odpowiada stół”.

Zaczyna się opis. „Wozy bez kół, ni koni, ślizgające się i rzucające iskry, domy z wodospadami na dachu, ludzie podobni do nas, tylko obie płci jednako ubrane”. Tłumaczem języka miejscowego jest zmarły syn jednej z uczestniczek seansów, pani Miribel, Aleksy, który tu się nazywa

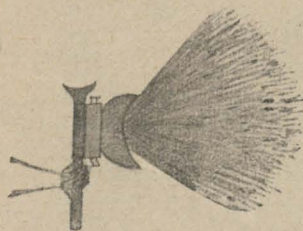


Miasto na Marsie. Kolory, jak wyżej.

Ezenal. Prócz niego występuje jeszcze miejscowy „wielki człowiek”, Astané, reinkarnacja fakira indyjskiego, Kanga, przyjaciela i towarzysza Simandini z czasów, kiedy Helena była księżniczką hinduską. Wygląda on nieco na transpozycję marsyańską Leopolda.

A oto tekst pisma marsyańskiego z tłumaczeniem na język polski (z francuskiego):

dodé	né	ci	haudan	té	mess	métiché
oto	jest		dom	wielkiego		człowieka
astané	ké	dé	mé	véshe		
astane,	który	ty	widziałaś.			



Maszyna do latania, własność Astané, miotająca płomienie żółte i czerwone.



Astané. Cera żółta, włosy czarne, sandały czarne, ubranie czerwone i niebieskie ze złotem.

*) „Des Indes à la Planète Mars”, étude sur un cas de somnambulisme avec glossolalie, par Th. Flournoy. Paris, Fischbacher, Genève, édition Atar. Quatrième édition. 420 str. w 8-ce.

Całą tę podróż spirytyści miejscowi uważali za rzeczywistą. Ale uczone genewski poddaje ją ostrej krytyce i uważa tylko za wypadek bardzo ciekawy autosugestyi somnambulicznej. A oto jego argumenty.

Zacznijmy od języka. Jest on artykułowany. Posiada te same samogłoski i spółgłoski, co francuski. (Helena umie tylko po francusku, ale ojciec jej odznaczał się wielkimi zdolnościami lingwistycznymi). Artykuł poprzedza zawsze rzeczownik, jak we francuskim; odmiana czasowników ma formy francuskie. Szyk wyrazów jest znów



Rośliny i kwiaty na Marsie. Ani śladu zieleności. Przeważają kolory: ceglasty, fioletowy, pomarańczowy.

taki sam, alfabet marsyański wygląda na przekrzywiony łaciński. Słowem, jest to rodzaj francuskiego esperanta, wymyślonego przez medyum.

Opis robi wrażenie zupełnej obojętności—może nieświadomości—w stosunku do wszystkich spraw, które zajmują może nie tyle astronomów, ile wogóle ludzi wykształconych, wśród których spopularyzowane są dotychczasowe wiadomości o Marsie.

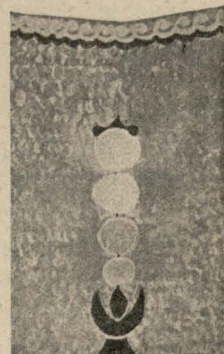
Więc ani słowa o głównych kanałach, o przypuszczalnych polach uprawnych na ich wybrzeżach, o śniegach na biegunach, o warunkach klimatycznych i t. d. Dalej nie dowiadujemy się ani słowa o stosunkach społecznych, rodzinnych i t. d., które obchodzą fantazyę socjologów. Wogólnych zarysach ten świat nowy jest zupełnie identyczny z naszym. Kiedy np. medyum opisuje uroczystość rodzinną, wogóle jest podobna do naszej.

Są, oczywiście, dziwaczne, szczegóły, jak: że ludzie witają szanownego Astané łechtaniem we włosy, zamiast uścisku dłoni, pary tańczą, trzymając się za ramiona, nie wpół, trąby wydają dźwięki fletów i t. d., ale ton uroczystości jest zupełnie ten sam, co na ziemi i wśród ludzi.

Czegóż to dowodzi? Oto tego, że medyum opowiadania swoje bierze z przeinaczonej, ale zawsze z otaczającej rzeczywistości. Źródłem opowieści z cyklu marsyańskiego, według p. Flournoy, są wspomnienia Heleny z rzeczy, czytanych o Marsie i Flammarionie, oraz rzucone kiedyś przez jednego z uczestników seansów pytanie, czy i jak ludzie żyją na innych planetach?—zatem wpływ otoczenia.

Jak dalece ten wpływ jest silny, niech zaświadczy, że wrażenia medyum z Marsa, że nawet język tamtejszy ulegał na różnych seansach zmianom, w miarę tego, jak Helena w mniejszym czy większym stopniu poddawała się uwagom krytycznym prof. Flournoy, czynionym w rozmowach prywatnych między seansami. Tak samo wpływem rzeczy czytanych tłumaczy się cykl „królewski”.

Więc, niestety, nie prawdziwe „wieści z Marsa”, lecz opowiadania pod wpływem autosugestyi somnambulicznej, ostatecznie o wiele mniej ciekawe, niż piękne powieści Żuławskiego z tłem księżycowym. Na zwiedzenie Marsa i — księżyc wypadnie nam jeszcze poczekać.



Lampa na tle obicia czerwono-niebieskiego.

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

Romantyczna historia.

2)

Tu się Karczoch uśmiechnął zjadliwie i dokończył:

— A tam — tu pokazał okno — mogą usłyszeć...

Spojrzał na jegomościa z niesmakiem i z pewną wyższością.

W tej chwili jegomość chwycił go karczochowo za rękę i wpił się w nią palcami.

— Cicho, łotrze! — szepnął.

— Jak pan uważa — odrzekł, nie spiesząc się, Karczoch.

Jegomość nasłuchiwał; twarz mu się mieniła i miała wyraz mocno apoplektyczny. Karczoch spojrzał na niego niedbale, z miną znudzoną, bardzo bowiem lubił wszelkie pozy w chwilach nastrojowych. Rzekł jednak po chwili sentencyjnie, z pewnym obniżeniem głosu:

— Obaj jesteśmy biedni...

Jegomość, mimo wszystko, spojrzał na niego, jak na waryata.

— Coś powiedział?

— Powiedziałem, że obaj jesteśmy biedni. Tak, panie, każdy człowiek jest biedny już w łonie matki swojej...

Karczoch milczał przez chwilę, tragicznie zamyślony. Potem, wskazując rzutem głowy nieszczęsną willę, rzekł znacząco:

— Pan jest... tego... że tak powiem, mąż?...

Jegomość spojrzał na niego, jak wilk.

— Milcz!

— Więc mąż... — zakonkludował Karczoch. — Ha! życie jest przykre, drogi panie, sądzę, że nawet, panie hrabio, zważywszy, że głowę masz bardzo zdegenerowaną...

Potem pochylił głowę. A kiedy wytrzymał w tej pozie chwilę wrażenie swoich słów, zwrócił się do jegomościa z żądaniem, przez pół i to bardzo tylko idealnie uzasadnionem:

— Sądzę, że już będę mógł odejść?

Spojrzał na jegomościa trochę z obawą, trochę z nadzieją, trochę kpiąco.

— Ani mi się rusz — syknął mąż — złodziej jesteś. Na sucho to ci nie ujdzie!

Józef Karczoch zachował się z godnością. Przekrzywił drwiąco usta i mówił:

— Słusznie, słusznie... Ale sądziłem, że, kiedy pan ma nieszczęście w rodzinie...

Nie dokończył, gdyż srogi mąż ścisnął mu rękę, tę spracowaną, biedną rękę tak silnie, że wrodzonej bohaterskości Karczocha zawdzięczać należy jego pogardliwe w tej chwili milczenie.

— Rozumiem — rzekł — rany bołą. Wiem o tem...

Stali tak długą chwilę, mąż, nasłuchując, Karczoch posągowo piękny, zimny, nieporuszony, tylko trochę poirytowany.

Po chwili jednak począł uciemieniony dramaturg tonem perswazyi:

— Pan źle robi... Przepraszam, że mówię, ale mówię cicho. Otóż pan źle robi, ośmielał się nawet powiedzieć, że dość głupio... Niech mnie pan tak nie ciśnie, bo są-

dzę, że nagły krzyk nie będzie panu miły... A dlatego głupio, bo jeszcze żaden Kaligula nie wygrał dwóch bitew, na dwa fronty. I nikt, uważa pan, dwóch srok od razu za ogon nie złapał. To jest prawda odwieczna, można powiedzieć nawet, prawda narodów... Tak, teraz dobrze... Wcale nie ucieknę, niech mnie pan nawet zupełnie nie trzyma...

— Zaimponowałem mu. Kaligulą — pomyślał Karczoch — idyota...

— Pst!... — syknął mąż.

Karczoch przycałił się.

Mąż nachylił się ku Karczochowi:

— Byłeś tam?

— Obym był tego uniknął!

— Widziałeś ich?

— Owszem, owszem... Nie mogę powiedzieć, że bym nie widział...

— Panią i pana?

— Można się i tak wyrazić, lepiej jednak nie tak konwencyjonalnie.

— Milcz, głupcze! Co widziałeś jeszcze?

Karczoch przymrużył filuternie jedno oko.

— Dwa prawdziwe bronzy, na kominku, w salonie...

Mąż uderzył go ręką w bok.

— Łajdaku! Bez złodziejskich figłów...

Co widziałeś?

Karczoch westchnął boleśnie.

— Gdybym, łaskawy panie, miał ochotę, poszedłbym sobie z tego niewdzięcznego domu, nie powiedziawszy panu nawet: „dobranoc”, najwyżej: „do widzenia”, ale tkwię tu



Karczoch wdrapał się na plecy nieszczęsnego męża. St. LENC

koło pana, bo mnie ta cała sprawa interesuje ze strony romantycznej. A pan się awanturuje. Niechże pan nie będzie tak choletrycznie impertynencki, bo narobię krzyku, potem mnie pan będzie szukał. Zresztą wygląda pan inteligentnie; może się mylę, ale pan tak wygląda, więc niechże się pan u stu dyabłów uspokoi...

Mąż spojrzał na niego ze wściekłością, ale mu przyznał rację we wzburzonej duszy.

Karczoch dorzucił wreszcie:

— Zresztą jestem człowiekiem wykształconym...

I umilkł.

Mąż myślał, długo myślał bezradnie. Romantyczny rzezimieszek stał spokojnie; ani mu przez myśl nie przeszło, aby uciekać. Wesołem swem spostrzeżeniem podzielił się natchmiast z nieszczęśliwym mężem:

— Wcale nie ucieknę. Owszem, pomogę panu. O co tylko panu idzie?

Karczoch uśmiechnął się w tej chwili jadowniczo.

— Pan prawdopodobnie jest w tej chwili w klubie?

— Jakto w klubie?

Mąż zdenerwowany nie rozumiał czasu teraźniejszego w inscenizacji genialnego autora historycznej tragedii.

— To znaczy — mówił szeptem Karczoch — poszedł pan do klubu, miał pan wrócić rano, a teraz jest dopiero północ. Racya, czy nie racya?...

— Owszem, racya...

Mąż spojrzał na rzezimieszka z pewnego rodzaju nie uzasadnionym podziwem, a ten dorzucił niedbale i lekceważąco:

— Jak w starej sztuce... Wszystko na świecie się powtarza.

Mąż chwycił go nagle za ramię:

— Słyszysz? Śmieje się!

Aż syknął z wściekłości nieszczęśliwy mąż.

Karczoch rzekł łagodnie:

— Śmiech ten jest srebrzysty, ale niech się pan uspokoi. Winni poniosą karę.

Wyrzekł te słowa z namaszczaniem, a równocześnie złowieszczo, groźnie, po apostołsku. Mężowi aż błysnęły oczy.

Konfidencya już była zupełna. Nieszczęśliwy mąż odrzucił wszelkie skrupuły; niema broni, którejby zdradzony mąż nie ostrzył na żonę. A któż miał o tem lepiej wiedzieć, jak nie głęboki psycholog, Józef Karczoch, złodziej nie byle jaki?

Stali teraz obaj bezradni, jakby dotknięci jednym nieszczęściem; niewiele brakowało fantazyi poetyckiej rzezimieszka, aby sobie zaczął wyobrażać, że to go własna żona zdradza, była panna, zasadniczo praczka.

Zimno było. Mąż widocznie postanowił czekać wyjścia swego „wice”, swego zastępcy bez prawnego po temu pozwolenia. Wreszcie, natchniony, zwrócił się do Karczocha.

— Silny jesteś?

Karczoch odpowiedział poetyckim zwrotem i dość tajemniczo, dla nieszczęśliwego męża:

— Dwadzieścia jeden byków legło na arenie w Sewilli...

Mąż skombinował z tego niewiadomo

jakim sposobem, że rzezimieszek jest widocznie silny.

- Utrzymaś mnie na ramionach?
- Dźwigałem życie—odrzekł Karczoch.
- Unieś mnie w górę, muszę zobaczyć, co się tam dzieje...

Karczoch pomyślał chwilę.

— Właściwie nic się tam dzieć nie może, czego by z góry nie można przewidzieć, a po drugie słyszałem, że pan ma skłonność do apopleksji? Czy tak?

Nikt tego Karczochowi nie opowiadał, lecz nieszczęsny mąż potwierdził skinieniem głowy. Karczoch zrobił tedy słuszną uwagę:

— Więc po co pan ma zaglądać w mroki tajemnicy i narażać się na apoplektyczny atak? Zapewniam pana, że tam nic złego dzieć się nie może; widziałem szanowną małżonkę pańską i jestem pewien, że kobieta tak anielskiej piękności hańby panu nie przyniesie, ale, uważa pan, licho nie śpi... o!... nawet się śmieje!

Karczoch powiedział to z wyrafinowanym jadem, bo się nikt w tej chwili w cichym domu nie śmiał. Mimo to nieszczęsny mąż najwyraźniej słyszał śmiech. Józef Karczoch spojrział na niego zwycięsko. Potem rzekł:

— Więc lepiej ja będę patrzył, a pan mnie podniesie. Sądzę, że plan mój jest doskonale obmyślany i poparty rzeczowymi dowodami. Stań pan tu... o!... tu...

Mąż robił wszystko posłusznie, bezwolny we wściekłości.

— Tu bliżej... bardziej w cieniu. Nogi pan rozkracz! Hop!

Karczoch umocował na głowie cylinder i wdrapał się na plecy nieszczęsnego męża.

Ten jęknął.

— Co widzisz? Gadaj! Prędko gadaj!—szeptał.

— Przedewszystkiem nic nie widzę, bo już ciemno—mówił cichutko z wysokości rzezimieszek, a po drugie tak pan dygoce, że wszelka obserwacja na większą skalę jest niemożliwa...

Męża porwała wściekłość.

— Gadaj! musisz widzieć!

— Nie skłamałem w mojem życiu—szepnął Karczoch z godnością, a w szepcie tym znać było obrażoną miłość własną, o ile rzezimieszek tego rodzaju może mieć co własnego, czego by nie ukradł.

— Boże! Boże!—rzęził mąż w rozpacz.

— Cicho!—zakomenderował nagle Karczoch.

Mąż przyczał się i nasłuchiwał.

— Ktoś szedł drogą...—dokończył rzezimieszek spokojnie, a wtedy mąż uszczypnął go w nogę.

— Łotrze! Złaż!

— A właśnie teraz widzę...

— Gdzie są?

— Dobrze nie wiem—szepnął Karczoch—ale niech pan przejdzie w stronę oświetlonego okna... Zdaje się, że tam przeszli...

Rzezimieszek mówił seryo, z przejęciem, ale przecież drwiąco. Najwyraźniej kpił.

Mąż tymczasem dźwigał swój słodki ciężar w stronę oświetlonego okna. Karczoch kierował nim z pomocą nóg.

— Powoli, panie! Gałęzie mokrego bzu

zniszcza mi cylinder, którybym pragnął zabrać do grobu... Widzę!

— Co widzisz? Mów! zapłacz... Zapłacz, tylko mów.

Karczoch mówił powoli, jak obserwujący pozycję nieprzyjacielską żołnierz mówi do dowódcy, zdając mu sprawę ze spostrzeżeń.

— Są tam...

— Wiem, że są... Co on robi?

— Siedzi przy niej, to znaczy, przepraszam, przy szanownej pani...

— Przy niej?

Nieszczęsny mąż pytał łakomie, zachłannie; można było myśleć, że zgodzi się na najgorsze, byle tylko w tej chwili mógł się o tem dowiedzieć.

— Tak! przy szanownej małżonce...

— A ona? Co ona?

— Kto? Szanowna małżonka?

— Ona! Mów, co ona robi!

— Siedzi przy nim—szepnął złodziej z bardzo sympatyczną flegmą.

Nieszczęsnym mężem wstrząsnął dreszcz.

— Łeb ci rozplątam, jeśli tak będziesz odpowiadał!

— Przecież mówię logicznie—rzekł Karczoch.—Aha! Jest!

— Co, co jest?

— Nie wiem, czy mogę...

— Mów! Nie bój się, mów!

— Powiem, bo rzecz mnie osobiście nie dotyczy, całują się...

(DC)

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

STARZEC.

3)

— Dziadów ja różnych znałem. Raz, kiedy jeszcze gęsi pasał, a młynarz mnie ciężko zbił, żem je w owies wpuścił, tom umyślnie je zapędził w chaszczę, żeby je lis podusił, i zasnąłem pod krzakiem. To wtedy dziad przyszedł, siadł przy mnie i plecionkę słomianą plótł, na gęsi naglądał, a jakem się obudził, chleba z serem mi dał, plecionkę podarował i tak mi coś powiadał, że to Bóg nad sierotą, żem sam sobie powinien strażą być, dla Jego opieki; już i nie pomnę, co mówił, alem się spłakał, słuchając, i młynarzam przeprosił, tak jakoś, że potem już mnie nie tknął.

— Znajomek mój ten dziad—rzekł stary.

— I w wojsku jednego znał. Przychodził do koszar. Powiedział mi o naszych stronach, pacierzy umiał wiele i śpiewów, po naszymu mówił, a co historyi znał, żem godzinami go słuchał.

A jeden jeszcze w szpitalu ze mną leżał. Rany miał straszne na nogach i chodzić nie mógł. Ten ci też śpiewał; słuchając, tom wstydział się narzekać. Wszelka desperacja od tego śpiewu jakby się spokoila we mnie.

— Pamiętam tamtych, ale was nie znam.

— Nie ciąży ci brzemię gałęzi?

— Nie baczę. Ot i miasteczko. Dobrze wam. Macie swoich. Odpoczniecie!

Ślepiec kroku przyspieszył i szedł, jak widzący. Minęli rynek, weszli w uliczkę. Psy do nich wypadły, doskoczyły. Antoni opędził się chciał, ale, jakby znały dziada, łąsiły mu się i, pogłaskane, wracały na swe podwórza.

I tak doszli, nikogo nie spotkawszy, do

chatupy starej, w ziemię wrośniętej, jednej z ostatnich w ulicze, wiodącej do cmentarza.

Wewnątrz płakało żałośnie dziecko.

Dziad, świadomy obejścia, otworzył wrotka, potem drzwi sieni, i weszli na lewo, do izby.

Wionął na nich zaduch, piwniczny chłód i wilgoć. Antoni stał w ciemności, aż błysnęło światelko. To dziad zatlił lampkę, stojącą na okapie komina. Wtedy się Antoni rozejrzył, gdzie był.

Izba była bez podłogi, niska, ciemna, okolona ławami. Na środku od belki, na sznurach wisiła kołyska wierzbową, i z niej rozlega się płacz słaby bardzo głodnego dziecka.

Do niej skierował się dziad, pochylił. Płacz ustał. Antoni zrzucił z ramion gałęzie, dotknął pieca; zimny był, zdawna wystygły.

A wtem z ławy podniosła się głowa ludzka, rozczochrana głowa dziewczynki, dziewięciolatki. Wlepiła w światło oczy wielkie, przerażone, potem je przeniosła na dziada i zawołała:

— Babo, ludzie jakieś w chacie!

Z za pieca rozległo się ciężkie stękanie, i wyrzała twarz wychudła, czarna i także same oczy, gorączką rozszerzone.

— Wody!—wyjąkały drżące, spieczone usta.

— Oj, jeść!—załkała dziewczynka.

— Przynieś wody, synku!—rzekł dziad.—Do wiadra sznur swój uczep, bo przy studni niema żórawia.

Antoni wyszedł na podwórze i, wyciągając wodę, pomyślał, że sznur jego służy inaczej, niż on zamierzał, od młyna go biorąc.

Gdy wrócił z wodą, dziad już dziewczynkę nakarmił, stara chciwie wypita, zapatrzyła się w nich i poczęła szeptać urywki pacierza, coraz wolniej, wolniej, aż usnęła; w kołysce spało dziecko.

Antoni już bez rozkazu zapalił w piecu.

— A gdzie gospodarze z tej chaty?—spytał.

— Pomarli na tyfus. On już miesiąc temu; kobieta onegdaj. Stara i dziewczynka też tyfus mają. Zараźliwa gorączka, ludzie boją się tu wejść.

— Któż ich dogląda?

— Ja. A ty się nie boisz?

— Czego? Śmierć ino raz przyjdzie, kiedy pora! Ale, jak to troje nie pomrze, to jak będzie żyć? Toć żadne do roboty.

— Ulituj się kto. Bóg przyśle dobrodzieja. Znajdą się dla nich ręce, co dają, popatrzą na nich oczy, co z duszy jasność mają, ogarnie ich opieka silniejszego, niż ich niedołęstwo.

W piecu się paliło. Usiedli na ławie, wprost ognia. Antoni popatrzał po śpiących,

— Nieboractwo! Tak to śpi, ufne sobie,

ani się troska, ni trwoży—szepnął do siebie. Wzrok jego przeszedł na ściany, na półkę, z której wyzierały różne narzędzia.

— Gospodarz majster był?

— Na ciesielce się znał, wszelki sprzęt narządził, bednarkę umiał!

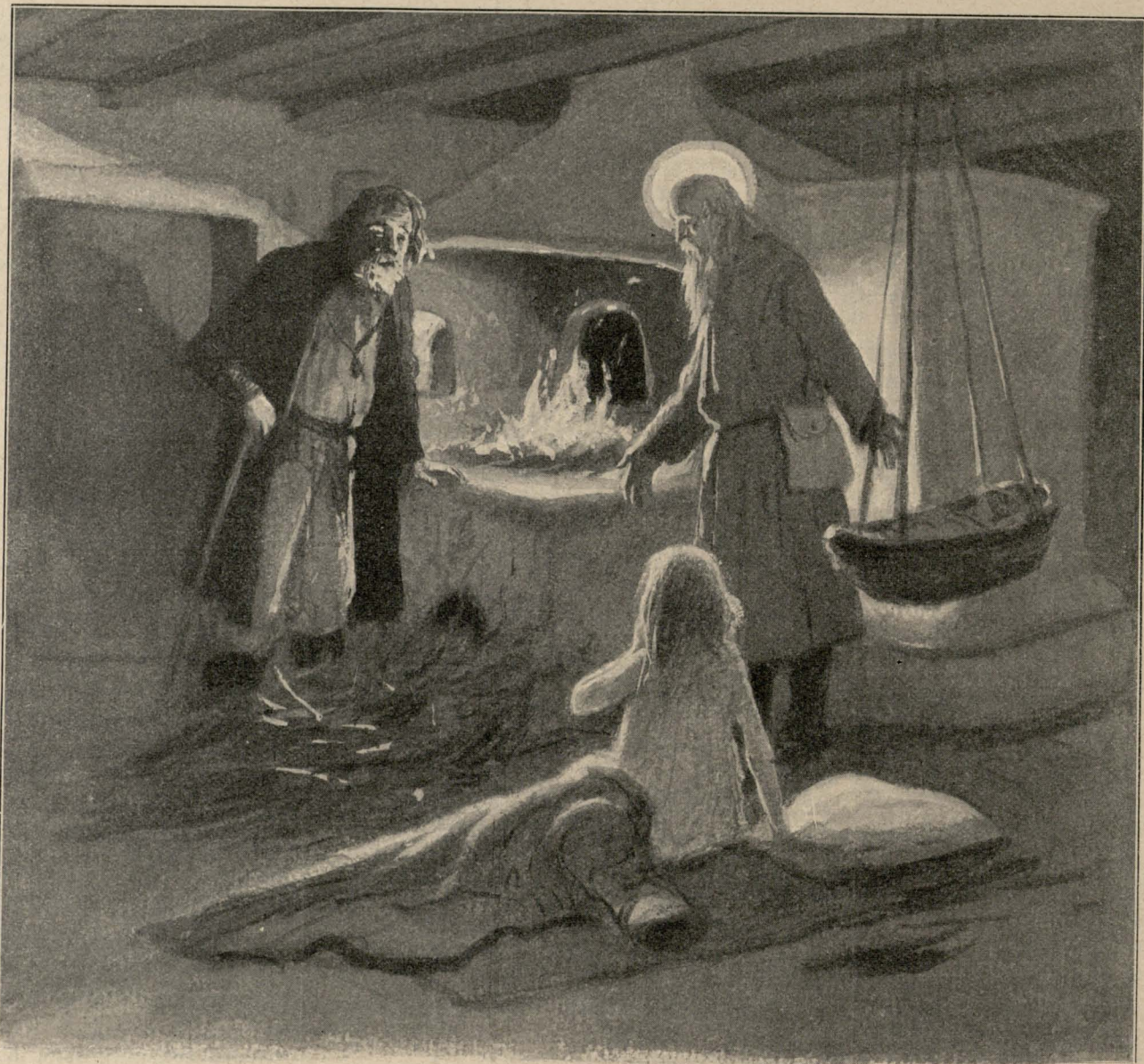
— Wiadomo, gospodarska rzecz. I my do młyna nigdy majstra nie prosili.

— Spocznij na ławie, synku. Zmachałeś się. Daj ci, Boże, zdrowie, żeś tu przyszedł.

Antoniego istotnie ogarniało zmęczenie i senność.

— Spoczniecie i wy!—rzekł do dziada.

— Jeszcze muszę iść do ludzi. Jeszcze dla nich się postarać o dalsze poratowanie. Zostaniesz tu, aż ja wrócę?



Na środku belki na sznurach wisiła kołyska wierzbową.

ANTONI PIOTROWSKI

— A jakżeby od takiej biedy odszedł?

— Śpią teraz. Zaśnij i ty. Wrócę do ciebie, a tymczasem tyś im Boża opieka. Nie opuść ich.

— Nie turbujcie się. Idźcie w spokoju. Na tyle mocy mam, żeby im poratowanie dać.

Coraz większa morzyła go senność. Wyciągnął się na ławie, i potem poplątało mu się w głowie. Raz mu się potem przypomniało, że dziad wyszedł, gdy jeszcze oczy miał otwarte, to znowu roіło mu się, że usiadł obok niego na ławie, dobył paciorki z torby i pacierze odmawiał. A pacierze to jakieś nieznanne były, i choć Antoni pilnie się im przysłuchiwał, nie wszystko spamiętał i zrozumiał, choć wtedy słowo w słowo za dziadem powtarzał. Powtarzał, i czyniło mu się mocno i wesoło we środku. Tak mocno, jakby mu z żelaza były ramiona a krzyże, a tak wesoło, jakby przyszedł do domu własnego, i przyjęła go rodzona familia.

A potem z tej lubości ogarnęły go łyzy, posilne, jak rosa, i już zupełnie zasnął.

Obudziło go stukanie w szybkę.

Zerwał się, rozejrzał. Chorzy spali, na dworze ranek biał, pod oknem ktoś stał.

Wyszedł przed chatę Antoni, kobieta mieszcanka była z garnkiem w ręku.

— Wy tu chorych pilnujecie? — spytała.

— A ja.

— Dziad ślepy u mnie był i prosił, żeby wam rano mleka przynieść. Weźcie z garnuszkiem—ja nie wejść, dzieci mam, lękam się

tej zarazy, ale poratować trzeba sieroty. Żyją jeszcze wszystkie?

— Zostaną żywe. Dopilnuję. Boże, wam zapać za mleko!

— Co tam! Dziad jakiś taki, że, jak co chce, to i człowiekowi się chce. Powiedział:— „Zanieś sierotom mleka”, tom przed świtem poszła doić, nie mogłam dnia doczekać.

— Znajomy wam dziad? Tutejszy?

— Nie! pierwszy raz był.

Zdziwił się Antoni, ale nic nie rzekł.

Pobudzili się chorzy, zawołali jeść. Przygrzał mleko, dał starej, dziewczynce. Tak słabe były, że, prawie oczu nie rozwierając, piły i znowu posnęły. Ale ujrzał, że pot był na nich, więc się ucieszył, okrył je i dał spać.

Napalił też znowu w piecu i wziął się do karmienia dziecka. Zdrowe było, rozbudzone, pewnie już roczne i wcale nie dzikie. Na kolana je wziął i karmił łyżką. Jak się posiliło, bawić się z nim poczęło i coś po swojemu przygwarzać—i śmieli się oboje. A wtem skrzypnęła furka, Antoni wyjrzał okienkiem. Człowiek wszedł na podwórko, zastukał w szybę. Zdał mu się znajomym.

Wyszedł do niego przed chatę, dziecko kurtą ogarnawszy.

— Dalibóg, dziad prawdę gadał.

— Jaki dziad? Jaką prawdę?

— A jakiś ślepy. O świtanu u mnie był, w deptaku. Wczoraj mi dwa tryby się popsęły, chciałem do Woli po Niemca jechać, a dziad powiada:

— Mój swojak, co na Rudnicy młyn utrzymywał, po nieboszczyku Rafale do sierot przystał, to on wam tryby sprawi duchem. Tak przyszedłem. Potrafisz zrobić?

— Juści. A gdzie waz deptak?

— Gdzie i był. Toć byłeś u mnie parę lat temu po krowę, co młynarz był kupił. Gadał, żeś znajda, a stary ci swojak się powiada!

— A ot i dziecko mam!—uśmiechnął się Antoni.

— Litościwieś zrobił, że ich ratujesz. Chodźże żywo!

— Zaraz będę!

Wrócił do izby, dziecko uspił, oprzątnął i sięgnął na półkę po narzędzia. Kędyś mu się podziała słabość, nie zważał na bolącą nogę, tyle miał do myślenia, do zajęcia.

Zebrał narzędzia do worka, wypuścił na swobodę z pod pieca dwie wpół żywe kury, znalazł w śpiżarce trochę starego chleba i kartofli, wziął kromkę, bo głodny był, spojrzął po śpiących i poszedł na robotę.

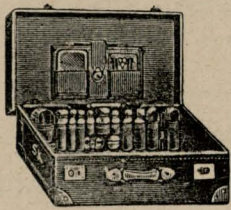
A gdy wychodził z podwórka, ujrzał przy studni sznur swój, więc go podjął, wrócił do izby i przywiązał do niego kołyskę, mrużąc:

— Drew im przyniosłeś, wody dobyłeś, kołysz sierotę na życie! Aż dziad wrócił!

Ale dziad po dziś dzień jeszcze nie przyszedł.

KONIEC.

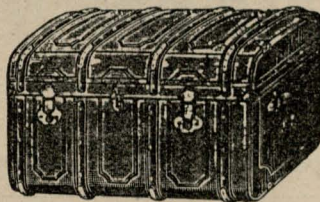
NADESŁANE.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



MYDŁO Z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”

BERGMANN i S^{KA} RADEBEUL-DREZNO

daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd,
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz
delikatną, osłepiająco piękną cerę.
Po 50 kop. dostać można wszędzie.

Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.- Petersburg, Newski 28, dom Sinnera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.

KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie

G. G. LARDELLI

CUKIERNIE
Fabryka Czekolady

Boduena 5. Nowy-Świat 27, Marszałkowska 68.

BOROL

na porę zimową uznano za najlep-
szy ze środków, chroniących skórę
rąk i twarzy od opierzchania.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłod-
na Nr 18; Długa Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra ROBERTA BERNHARDTA

ordynatora szpitala św. Łazarza.

WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rent-
gena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Ar-
sonalizacja. Choroby weneryczne.



LUDWIK SZUFA KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671



Od przeszło 40-stu lat polecana przez lekarzy ca-
łego świata jako idealny pokarm

— DLA DZIECI —
i dorosłych chorych na żołądek.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i w Lublinie

w Krakowie G. Gebethner i Spółka

OTRZYMAŁY NA SKŁAD GŁÓWNY:

- Andrejew L. Miłość bliźniego. Żart. Z oryginału rosyj-
skiego przetłumaczył Dr. M. S. kop. —.35
- Balzac. Fiziologia małżeństwa, czyli rozmyślenia ele-
ktrycznego filozofa nad małżeńską dola i nie-
dola. Przełożył Boy. rb. 2.—
- Bojanowski S. Koza domowa i jej wchów. kop. —.50
- Byszewski W. J. Korespondencya handlowa. Podręcz-
nik do użytku szkół handlowych. kop. —.50
- Chankowski H. Szczoty i maszyny do mechaniczno-
go wykonywania rachunków. kop. —.50
- Wykład arytmetyki handlowej i finansowej,
opracowanej według programu szkół handlo-
wych i komercyjnych, kursów handlowych i
kursów buchalteryjnych. Część druga, dla klas
wyższych. w opr. rb. 2.50
- Wykład popularny buchalterii pojedynczej i
podwójnej, z uwzględnieniem metod: włoskiej,
amerykańskiej, niemieckiej i francuskiej, jed-
no, — dwu, — trzechkontowej i sekretnej. Pod-
ręcznik praktyczny dla osób, chcących wyu-
czyć się buchalterii lub w niej się wydoskona-
lić. Tom I., wydanie VI. rb. 1.50
- Charkowski Wl. X Historia polityczna Kościoła w Gal-
licyi za rządów Maryi Teresy. 2 tomy. rb. 7.50
- Czarnowski S. J. Polska przedhistoryczna. Badania,
poszukiwania, opisy zabytków przeddziejowych-
bibliografia, sprawozdania przeglądu itp. rb. 2.50
- Drogomir W. Noc z 6 na 7 października (23-24 wrześ-
nia) 1620 r. kop. —.30
- Encyklopedia Kościelna podręczna. Opracowana pod
kierunkiem Ks. Ks.: St. Galla, Jana Niedziel-
skiego, Henr. Przędzkiego, Czesł. Sokołow-
skiego, Ant. Szlagowskiego, Ant. Taura i re-
daktora ks. Zygmunta Chelmieckiego. T. XVII—
XVIII zawiera H. — I. — J. rb. 2.—
- Grejniec M. Hygiena zębów i jamy ustnej. Nr. 1. Ogól-
ne zasady pielęgnowania zębów i jamy ustnej.
na lepszym papierze kop. —.10
- Jankowski Wl. Puławy. kop. —.45
- Jaworski Fr. Nobilitacya miasta Lwowa. Z 2 ryci-
nami w tekście. kop. —.90
- Jeske-Choński T. Jakobini. Powieść historyczna z cza-
sów Rewolucyi francuskiej. 2 tomy. rb. 2.—
- Kneller K. A. ks. S. J. Chrześcijaństwo a przedsta-
wicielem nowoczesnej wiedzy przyrodniczej. Prze-
łożył z drugiego wydania niemieckiego S. Bar-
szczewski. rb. 1.—
- Kolankowski L. dr. Kościół a Cerkiew w Galicji
wschodniej. Z mapą. rb. 1.20
- Konczyński T. Głód szczęścia. Powieść. rb. 1.50
- Kotarbiński J. Pogrobowiec romantyzmu. Rzecz o Sta-
nisławie Wyspiańskim. rb. 1.80
- May Karol. Powieści podróżnicze. Tom V. Przez kraj
Skipetarów. Z ilustracyami. rb. 2.20
- Tom VI. Szut. Z ilustracyami. rb. 2.20
- Mickiewicz Adam. Nieznane pisma (1817-1823). Z Archi-
wum Filomatów wydał Józef Kallenbach rb. 2.40
- Milewski J. Zagadnienie narodowej polityki. rb. 2.70
- Obuchowski K. Mapa gubernii Płockiej; z podziałem
na gminy. Podług najnowszych źródeł. rb. 1.50
- Okulicz St. Zbiór zadań algebrycznych, w układzie
metodycznym. Część pierwsza. Pojęcia wstępne.
Liczby ujemne. Jednomiany i wielomiany.
Ułamki. kop. —.90
- Paygert J. Dr. Zasady nauki o wyłączeniu poczyta-
nia. Krytycznie zestawil. rb. 2.70
- Piltz E. Polityka rosyjska w Polsce. List otwarty
do kierowników polityki rosyjskiej. kop. —.60
- Rabska Z. Zanim światła pogasną. rb. 1.60
- Sikorski W. Uprawa rolna naszych torfowisk, (na za-
sadzie wyników urzędzenia folwarków torfo-
wych w Parchaczu w ziemi Belskiej). kop. —.50

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać
przez ćwiczenia psychofizyczne,
opisane w nowym dziele WINCENTEGO LU-
TOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTEGI
WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa.
Cena w oprawie rub. 1.20.

S. GLIŃSKI

41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

MAGAZYN I FABRYKA
JUBILERSKA

ALEKSANDER ORACZEWSKI

WARSZAWA, TELEFON 186-11
ULICA NOWY - ŚWIAT Nr 29

Wielki wybór biżuterii brylantowej.
Ceny fabryczne.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Zaniedbanej. Ręce czerwone, jeżeli były kiedyś odziębione, doprowadzi do porządku *Gelurine* płyn i krem. Przepis drukowany bywa dołączany. Jeżeli nie były odmrożone, wystarczy *Pâte de Prélats Ponsarda*. Paznokcie kruche i tworzącą się skórę wokoło, a nawet zadry usuwa *Onglophile Ponsarda*.

Pani E. M. Cieszy mnie bardzo, że polecana Emulsja Radium tak szybko Sz. Pani poskutkowała na usunięciu zmarszczek. Co do włosów, radzę preparat radioaktywny, zwany „Radiol”. Włosy nabiorą wkrótce życia, zagęszczą się, i łupież zupełnie zginie. Dostanie Sz. Pani w pierwszorzędnym postępowych perfumeryach lub u reprezentanta Klimeckiego, w Warszawie, Niecała 5.

Mani M. w S. Kapelusze gustowne i wykonane z precyzją artystyczną znajdzie Pani u *Kazimiery* w gmachu Teatru Wielkiego. Zamówienia są przyjmowane i listownie.

I. P. X. X. Na czerwoność nosa *Nezaline*, jeżeli był kiedyś odziębiony, proszę wyżej zamieszczoną odpowiedź zastosować do siebie.

Lila B. Na uformowanie paznokci są specjalne naporstki, które doprowadzą do formy nawet zaniedbane paznokcie; dostać je można w perfumeryi *Paszowskiego Marszałkowska 109* lub też w *Perfection Sepitalna 10*. W obu tych perfumeryach zajmują się wysyłaniem pocztą wszystkich środków, tutaj zalecanych. Podbródek zbyt obfity usunie Pani niezawodnie mydłem *Gossa* i przepaską, zwaną *Reducteur*.

P. Dziwnemu. Dlatego mydła *Karpinińskiego* zalecamy, że ta fabryka jest jedyną, która wyrabia mydła *Neutralne*, to jest takie, które nie zawierają w sobie ani nadmiaru tłuszczu, ani sody, a więc używane być powinny, jako najhygieniczniejsze i podatne dla skóry tłustej, jak i suchej.

P. Izabelli. Prześliczne gorsety, w bardzo przystępnych cenach, wyrabia paryska firma *Dutoict*, mająca swą filię w Warszawie przy ulicy Wierzbowej 8. Wysyłają pocztą, przysłać trzeba miarę w centymetrach: w pasie, w gorsie w biodrach i długość frontowej brykli.

Artystce w Wilnie. Po charakterystyce zmywać twarz zamiast goldkremem *Kremem Psyché*, również tanim, a nadzwyczaj łagodnym.

Mme Erçèdes.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

Składy Sukna i Kortów LEONA MESSINGA

w Warszawie, Miodowa 7, Marszałkowska 140,

polecają modne materyały krajowe i angielskie w wybor. gatunkach. Najdogodniejsze źródło zakupu.

PASTILLES

DE

**TAMAR
INDIEN
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

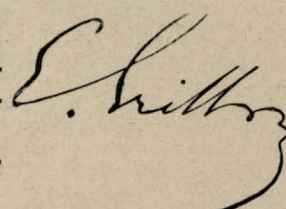
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający

PRZECIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i półpudełkach po 6 pastylek z podpisem



OD ADMINISTRACYI.

Pochlebnie wyróżnioną przez ogół krytyki heliografiurę z obrazu Krzesza: „Ostatnie akordy Chopin'a (40 × 30 centym.) wysyłamy prenumeratom *Tygodnika Ilustrowanego* w cenie po rubli 5, do dnia 1-go stycznia r. p. Cena następnie będzie podwyższona.

**GEBETHNER
i WOLFF**
PIANINA I FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



-- Pamięci --
J. Słowackiego

Oktet z opery A. Minchejmera

„Mazepa”

Ułożony na chór mieszany z towarzyszeniem lub bez fortepianu.

Partytura kop. 60
4 głosy po kop. 10

Wydawnictwo

Gebethnera i Wolffa w Warszawie
Do nabycia we wszyst. księgar.

„Przez lądy i morza”

Ilustrowany tygodnik powieści, przygód myśliwskich, opisów podróży, ziem i ludzi wszystkich części świata. Wychodzi co tydzień w sobotę.

Warunki pren.: W Warszawie	W Królestwie Polskiem i Cesarstwie
Rocznie rb. 9.60	rb. 11.—
Półrocznie „ 4.80	„ 5.50
Kwartalnie „ 2.40	„ 2.75

Główna ekspedycja w księgarni Gebethnera i Wolffa. Dotychczas wyszły **Illustrowane powieści podróżnicze K. Maya**:

T. I Przez pustynię	T. IV W wąwozach Błakanu
II Przez dziki Kurdystan	V Przez kraj Skipetarów
III Z Bagdadu do Stambułu	VI Szut.

W druku T. VII *Winnetou*, czerwonoskóry gentleman. Cena każdego tomu rb. 2.20. W ozdobn. oprawie rb. 3.—. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materyałów.

Oprócz wszelkich Zabawek ogólnie znanych
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8) poleca:

AEROPLANY

różnych systemów, ELEKTRYCZNE ZABAWKI, Pokojowe TIRS AUX PIGEONS, dziecinne PŁUGI i BRONY, SANKI, MASZYNY do PISANIA, oraz PRZYBORY do KOTYLIONA i t. p.

SKLEPY do wynajęcia od 1 lipca 1910 roku, w domu pod N-r 11 przy ulicy Mazowieckiej. Reflektanci zechcą się zgłaszać do Zarządu każdorazowo od godziny 11 do 2 pp. dla obejrzenia planów i omówienia żądanych przerw.



Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i Lublinie
polecają:

- **Szkołę** -
na **Wiolonczelę**
K. Paschalskiego

Część I.

Z zastosowaniem początkowych zasad teoretycznych

Cena rb. 2.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

PATENTY
NA
WYNAŁAZKI
„Włodarkiewicz
i Sieklucki”
Włodzimierska 16,
Egz. od 1886 r
Wł. inż. W. Jakubowski.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE **MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.